Rok VIII. Za maj 1919. Zeszyt 1.

MIESIĘCZNIK KATECHETYCZNY i WYCHOWAWCZY

wychodzi

w pierwszej połowie każdego miesiąca.

Treść.

Adres redakcyi i administracyi:

Lwów, ul. Sykstuska l. 64.

LWÓW. — 1919.

DRUKARNIA UDZIAŁOWA, LWÓW, KOPERNIKA 20.

Od Redakcyi.

Po raz drugi musieliśmy z bolem serca przerwać nasze wydawnictwo, — tym razem z powodu inwazyi ukraińskiej, która nam przecięła wszelką komunikacyę pocztową z początkiem listopada r. z. Spodziewaliśmy się, że przerwa ta potrwa tylko parę tygodni, a tymczasem mijał miesiąc za miesiącem, a podjęciu wydawnictwa stały ciągle na przeszkodzie trudności niepokonane: brak papieru i dostatecznej liczby składaczy. Dlatego zeszyt za wrzesień i październik pozostał ostatnim z r. 1918. Dziś jeszcze nie wszystkie trudności są usunięte, ale znaleźliśmy przecież drukarnię, która nam ofiarowała swoje usługi, więc jakkolwiek jeszcze Galicya wschodnia jest od nas odcięta i jakkolwiek niema dotąd normalnego połączenia pocztowego z zagranicą, a nadto koszta wydawnictwa wzrosły znowu ogromnie, — postanowiliśmy dłużej już nie zwlekać i rozsyłamy pierwszy ten zeszyt rocznika VIII, w nadziei, że czcig. Przyjaciele naszego Miesięcznika nie odmówią mu nadal swego poparcia, że nadto pozyskamy liczny zastęp nowych prenumeratorów w zjednoczonej Polsce. Prenumeratę podnosimy z konieczności na 20 kor. rocznie, a 10 kor. półrocznie. Przedpłata na czas od 1-go maja do końca r. b. wyniesie 13 kor. Prosimy ją przysłać jak najrychlej przekazem. Czeków nie mamy. Wydatek na marki może sobie, kto zechce, odciągnąć. Kto posyła jednym przekazem prenumeratę na Mies. Kat. i Gazetę Kościelną, raczy to stwierdzić dopiskiem na odcinku.

Budowa czy przebudowa?

W zapiskach historyka greckiego Silenosa, towarzysza wypraw Hannibala, znalazł się dziwny sen wodza. Śpiącemu wydało się, jakoby przed wyprawą na Rzym powołany na zgromadzenie bogów otrzymał rozkaz, by w pochodzie, który ma odbyć pod przewodem przydanego od niebian przewodnika, szedł naprzód nie oglądając się poza siebie. W dalszej scenie widziadła sennego ujrzał się Hannibal w roli wykonawcy tego rozkazu. Długo był mu posłuszny i starał się zobojętnieć na wszystko i tylko iść, jak mu kazano W końcu przemogła ciekawość i spojrzał za siebie. Widzi mordy, pożogę, zniszczenie. Przerażony widokiem pyta, co to ma być. Otrzymuje odpowiedź krótką: „Vastitas Italiae!“ Kto czyta to miejsce u Cycerona, De divinatione, temu wciska się chyba do myśli wizya wojny Stucka. Fantastyczny rumak z jeźdźcem grzbiecie kroczy śladami krwawego pola walki, ognistą ubrzeżonego łuną na dalekim horyzoncie. Obraz ten silniej wstrząsa widzem, niż symbolizująca grozę wojny piramida czaszek Wereszczagina.

Dzisiejsze pokolenie nie będzie potrzebowało dla zrozumienia okropności wojennych oglądać się za odczuciem artystów. Przejmujące sceny Grottgera, choć tak głęboko do serca nam przemawiają, bledną wobec rzeczywistości, którą wojna światowa z całą brutalnością nam narzuciła, przewalając się nawrotowo na naszych ziemiach, z coraz to nowych ognisk jakby kryjówek zdradzieckich czyhając Znikł posiew pracy i kultury dziejowej, rozpłynął się dorobek cywilizacyjmy wieków w potopie krwi i zgliszcz popiele. Jeżeli grabieże, od 120 lat na nas dokonywane, pogodziły już nas z myślą wyrzeczenia się najcenniejszych dzieł, to szarpała nas boleśnie każda wiadomość o zniszczeniu uratowanego gdzieś z kataklizmowego rozbicia ząbytku, bolały walające się lub rozdrapywane przedmioty z księgozbiorów i galeryi, archiwa rodowe, miejskie, krajowe w rozdarciu lub płomieniach.

Pozostawmy na uboczu ruinę materyalną, unicestwienie źródeł życia ekonomicznego, upadek instytucyi społecznych i oświatowych, a wejrzyjmy w dziedzinę, w której zwykliśmy szukać dobrej wróżby na przyszłość, w sferę edukacyjną młodego pokolenia. Znać tu dewastacyjną robotę przejść wojennych. Opustoszały budynki szkolne i o ile oparły się burzy, nie rozbrzmiewają rytmem nauki. Przewodników młodzieży rozegnały wichry bojowe lub zagłuszyły ich głosy, dziatwa schroniła się pod dach rodzicielski i tu porwały ją troski domowe, jeżeli nie pociągnęła ulica swojemi pokusami, starsi odpłynęli do wojska.

Gruntowniej od fizyognomii zewnętrznej zmieniło się życie szkoły. Podczas inwazyi zamarło ono w ogóle, z ustaniem jej zatliło przygasłym blaskiem, by znowu z tępicielskim najazdem kresów niemal zupełnie ustać. Rozstrzępione ciągłemi przerwami i skrótami wiadomości, które padały na dorywczo zaoraną glebę, dociągało się do minimum skali patentowej, rozwój intelektualny i moralny temperowały względy wojenne. Wysiłki, jeżeli jakie były, kulminowały w zdobyciu świadectwa uzdolnienia do następnej klasy lub najbardziej cisnącej zmory, chwycenia świadectwa dojrzałości. Chyżość w zdobywaniu świadectw przyspieszała służba wojskowa. Świadectwa wcześniejszego uzdolnienia a zwłaszcza „przedwczesnej" dojrzałości stały się formami o zwietrzałej treści albo i bez treści. Przeżarł ją i pożarł moloch wojny.

Z rozmiarów klęski, jaka spadła na szkołę przez wojnę, nie zdajemy sobie jeszcze sprawy, ona dopiero po wojnie da się odczuć. Na razie tylko szkody materyalne gromadzi w piętrzących się kolumnach departament techniczny. Nie inwentaryzuje się tego, co pozostało ani nie pyta nikt, jak pozostało, jak ocalały akta, zbiory i choćby częściowo sprzęty, ile to nieraz kosztowało zabiegów, by uchronić te ruchomości państwowe, porzucone wprost na pastwę losu wraz z zaskoczonymi na miejscu pracownikami, którym na zawstydzenie przeciwstawiano lojalność uchodźczą.

Wojna wypełni osobne karty w dziejach szkolnictwa, smutne jak ona, ale tak samo zwrotne w losach naszego wychowania publicznego.

Z oparów wojennych wyłoniła się najpierw nadzieja, a w dalszym rozwoju wypadków i realizacya własnej państwowości, a z nią usamodzielnienie szkoły.

W radosnem ocknięciu zrywa się myśl ku przyszłości. Mnożą się projekty, które mają nasze słabości wzmocnić, rany zadane wojną uleczyć, szkołę pchnąć na tory szczęśliwego rozwoju. Wspólna wszystkim jest nuta Sudermannowska: „Was wir waren, sank in Trümmer". W ocenianiu jednak dali regresywnej zdania się rozchodzą. O bezpośredniej przeszłości, o tem „wczoraj", którego następstwem jest „dziś", prawie, że się nie myśli. Natomiast gdy jedni sięgają do narodowego skarbca pamiątek i z ich pomocą pragną przez teraźniejszość tworzyć przyszłość, drudzy zajęci tylko przyszłością, tworzą projekty *ex nunc.*

Takim jest projekt warszawski. Jest on budową od fundamentów, które stara się oprzeć o podstawy społeczne.. W tem założeniu tkwi wiara, że najszerszym potrzebom odpowie 7 letnia szkoła powszechna, którą mogą rozszerzyć ci, co zechcą, na 5-o letnią szkołę średnią jako przygotowanie do szkoły wyższej dla tych, którzy reflektować będą na wyższe wykształcenie. Nie z pedagogicznych, lecz socyalnych założeń myśl poczęta, przeprowadzona została według liczbowego szablonu, który kazał naukę zamknąć z 14 tym względnie 18 tym rokiem życia, nie kładąc już tamy studyom wyższym. Kandydatowi szkoły średniej wolno jednak przerwać naukę w szkole powszechnej z rokiem 6 tym, byle tylko liczbie 5 lat szkoły średniej uczynił zadość przed 18-tym rokiem życia. Czem pierwsze 7 lat nauki ma się wypełnić, jakie siły nauczycielskie potrafią kierować bez przerwy tak długim tokiem nauki w wieku największego rozwoju dziecka, to już wychodzi poza program formuł liczbowych.

Za to gotowymi planami wypełnione są ramy szkoły średnej. Rozchodzi się ona w 4 oddziały, czyli jakbyśmy

po staremu powiedziell, w 4 typy; na czele idzie, a raczej wszystkiem jest, oddział matematyczno-przyrodniczy. Pośledniejszej wartości, którą jednak ratuje większy przydział matematyki i nauk przyrodniczych, ma być oddział humanistyczny, broń Boże, by ktoś myślał o językach starożytnych, ale jedynie z językiem ojczystym. Zbacza daleko od linii doskonałości, bo zatrzymuje łacinę ze szkodą dla matematyki i przyrody, oddział filologiczny — tak nazywa się w Królestwie gimnazyum realne. Wreszcie na szarym końcu stoi do czasu jeszcze tolerowane gimnazyum klasyczne czyli, jak tam się nazywa, odział klasyczny, z łaciną i greką, z nikłym, jak na źródło prawdziwego kształcenia, przydziałem matematyki i przyrody.

Właściwie tylko klasyfikacya wartości typów jest własnością anonimowego twórcy projektu. Materyału operacyjnego dostarczyły mu pomysły reform, jakie szczególniej na terenie Królestwa się pojawiły, a które bywały podkładem dyskusyi ogólnych zrzeszeń nauczycielskich. Jednak w przetworzeniu tego materyału, dokonanem z wprawą dyalektyczną, zachowuje pewną samodzielność. Dla swojej argumentacyi szuka oparcia w t. zw. zasadzie wychowawczej. Ma nią być uproszczenie i pogłębienie nauki. Zasada słuszna, wymierzona przeciwko rozprószeniu, które przez różne przydadki w planie organizacyjnym i u nas dość szkody sprawiło. Ale to jest zasada dydaktyczna, której nawet nie na każdym stopniu nauki ta sama wartość. Ona nie rozstrzyga o stronie wychowawczej przedmiotu, a obowiązując w zakresie każdego typu szkoły, nie może stanowić *principium divisionis* typów. Ona też w rzeczywistości i w projekcie wyszła, choć w innem ugrupowaniu, nie z owej zasady, lecz z ustalonej doświadczeniem praktyki, która na podstawie przewagi materyału operacyjnego rozróżnia: 1. gimnazyum humanistyczne, przez autora zepchnięte na koniec dlatego, że z powodu uprawnień zajmuje dotąd pierwsze miejsce; 2. szkoły realne, które z woli autora zaawansowały na czoło jako oddział matematyczno-przyrodniczy; 3. gimnazya realne jako typ mieszany, po-

średniczący między obydwoma typami głównymi; 4. szkołę języków nowożytnych, jak się nazywa zagranicą, u nas zastosowaną dotąd do szkół żeńskich, zwanych liceami.

Nieprzyjaźń dla nauk klasycznych u autora bierze górę tak, że odbiera on temu kierunkowi utartą przez wieki nazwę „humanistycznego" i nadaje ją wbrew powszechnemu użyciu typowi czwartemu, chrzcząc to, co w całym świecie cywilizowanym nazywa się humanizmem, dowolnem mianem „dyscyplinaryzmu".

Semazyologiczny rozwój wyrazów rozumiem, ale czy takie przesunięcie czy zwinięcie znaczenia wyszłoby na naszą chwałę i pożytek, pozwalam sobie wątpić. My nie możemy tak ścielić własnego podwórka ani go tak wysokimi murami oddzielać od świata, iżbyśmy nie mogli porozumieć się z sąsiadem, ani wyjrzeć okiem poza nasze obejście. Co już w szkicu planowym dość wyraźnie się ujawnia, a w samem rozprowadzeniu tendencyą bije w oczy, projektantem kierowały dwie pobudki: niechęć do kierunku humanistycznego i predylekcya do kierunku realnego. Nie dorosły one jednak do owych przeciwnych sobie sił Empedoklesa, które równowagę stwarzały, ale jako czynniki zewnętrzne całą budowę mocno w jedną stronę przechyliły. Już ten pion, który miał ją trzymać prosto, owa podstawa pedagogiczna, nie z natury dziecka ani z historycznego rozwoju wysnuta, lecz apriorycznie postawiona, stwarza sztuczne foremki, w które wstawić się ma odpowiednio spreparowaną treść.

Tylko w gimnazyum i w szkole realnej jest ona odmienna i dlatego tylko te dwa typy przedstawiają odrębność — dwa inne są wytworem kombinowania ilościowego elementów, wyjętych z tamtych foremek. Tylko dla ostatniego typu wspólna podstawa przygotowawcza, kryjąca swe fundamenta w szkole powszechnej, wystarczałaby, wątpliwą już byłaby dla szkoły realnej i gimnazyum realnego, a zupełnie nie wystarczającą dla gimnazyum humanistycznego, które swój materyał językowy i realny musi rozłożyć, by zapobiedz ryczałtowemu wtłaczaniu wiedzy,

urągającemu, jak wszyscy wiemy, dydaktycznej i pedagogicznej racyi. Preponderancya matematyczno przyrodnicza na całym obszarze mająca rzekomo wychowanka trzymać najbliżej brzegu życia a społeczeństwu nieść odrodzenie ekonomiczne, poza wyjątkowemi uzdolnieniami obcą jest naturalnemu popędowi, który zwłaszcza w początkowych fazach rozwojowych więcej nachyla się w świat fantazyi i spostrzeżeń najbliższych niż kalkulacyj abstrakcyjnych i zatapiania się w długich procesach myślowych. Ruchliwość umysłu dziecęcego wymaga częstej zmiany i oględny pedagog tylko zręcznością urozmaicenia zapobiega tak zwykłej nieuwadze małych roztrzepańców. Gdybyśmy mieli dać taką przewagę przedmiotom matematyczno przyrodniczym, jak projekt proponuje, musielibyśmy zrezygnować z kształcenia wyobraźni, która w polskiej szkole wymagać będzie wielkiego kultywowania, jako rzecz pierwszorzędnej wagi w kierowaniu temperamentem sangwinicznym. W związku z tem stać będzie nacisk na kształcenie charakteru, które w systemie proponowanym schowane jest gdzieś do metodycznego kącika.

Prócz jednostronnie umotywowanego rozgraniczenia typów, przygotowania do nich i ogólnej tendencyi nadania wychowaniu kierunku wyłącznie intelektualnego, rozróżnianie we wszystkich typach ważniejszych i mniej ważnych przedmiotów zawiera pod względem wychowawczym poważny szkopuł. Przypomnijmy sobie tylko, jak to było z przedmiotami objętymi egzaminem dojrzałości i wyjętymi z pod niego, jakie następstwa miało stopniowe wyłączanie przedmiotów z programu egzaminowego: pierwsze rysy z dyspensami przeszły z czasem w wyłomy, które zadecydowały nietylko o wartości eg aminu, ale i całej nauki, pojętej jako zaprawianie do obowiązku.

Przeszliśmy także przez próbę, którą długo uważaliśmy za postulat nienaruszalny, aby naukę możliwie przenieść na szkołę. Okazało się to zawodnem: umysł młody, wyswobodzony od myśli o szkole, ulegał naporowi wrażeń pozaszkolnych, które rozluźniały asocyacyjne grupy

wyobrażeń i zaciemniały wiedzę. Uznano wartość pracy domowej i rozpoczął się odwrót, którego w projekcie nie widać. Nie docenia on także znaczenia pamięci, która jest nieocenionym kondensatorem i rezerwoarem w wieku łatwo napływających, ale jeszcze łatwiej rozpraszających się i ulatniających wiadomości. Metoda pamięciowa, którą projekt nazywa werbalną, nie zasługuje na bezwzględne potępienie. Za wczesne przerozumowanie odbiera tę swobodę i lotność fantazyi, z którą dziecko snuje swój świat i w lot chwyta nową wiedzę i na swój sposób ją przetwarza. Jestto czas najstosowniejszy do nauki języków, do której dziecko nie odnosi się z takim wstrętem, choćby to była i łacina, o jakim wspomina projekt Zresztą siła pamięci nie jest obojętna dla całego życia umysłowego.

Nie można wreszcie dziś z przyszłej organizacyi szkolnictwa wydzielić kwestyi wychowania kobiecego. Projekt zostawia na razie wspólność typów dla obu płci. Poczynione doświadczenia przemawiają silnie przeciwko takiemu załatwieniu sprawy. Wartoby było zużytkować zdobycze słynnych pensyonatów i zakładów prywatnych, jakie miał Poznań, Kraków, Lwów, w których całe pokolenia kształciły się na dzielne niewiasty. Wypadałoby posłuchać głosów ze sfer interesowanych. Wielce znamiennym dla dążeń czasów ostatnich na tem polu jest głos Plater Zyberkówny „O potrzebie reformy szkoły śedniej dla dziewcząt“ (1917) domagający się wychowania zgodnego z naturą i zadaniami kobiety. Bo zapewne nawet gdybyśmy przeszli pod planetę matematyczną, za cel główny dla kobiety nie będzie można wysuwać indeksu uniwersyteckiego.

Projekt obfituje w trafne obserwacye nad licznemi zagadnieniami szkolnemi. Szkodzi mu jednostronność założeń i zaufanie w nieomylność apriorycznych teorematów. Można wierzyć w siłę kształcącą nauk matematyczno-przyrodniczych, a przecież nie uważać tego za dogmat, który każe dziecko wyciągać „logiczne wnioski“, wyrabiać w sobie „przyrodnicze czucie“. Rozprowadzenie skłębionych dziś lagunowo inklinacyi w różne typy trafia w uznawaną

powszechnie potrzebę, ale czemuż równocześnie nie pomyśleć o odprowadzeniu ich szerokimi kanałami do szkół zawodowych, gdy te podobno w Królestwie, z którem projekt głównie się liczy, świetnie się rozwinęły? Wobec rzekomej powszechności upodobań matematyczno przyrodniczych widzieć w odczuwaniu wartości językowych i historyczno-humanistycznych jakieś zacieśnienie do wyjątków i ograniczonych skłonności — to już chyba daleko idące złudzenie. Z powodu tak skrajnego ujęcia problemów pierwszej wagi trudno uważać projekt za coś więcej nad materyał do prac organizacyjnych, z których wyłoni się z czasem ustrój szkoły polskiej — ogólnej.

W dzisiejszych potrzebach okażą się zapewne dość znaczne różnice dzielnicowe.

Naszej dzielnicy trudno byłoby naraz zapomnieć, że pracą lat 50 nie tylko stworzyła szkołę średnią, lecz nawet na pewnym poziomie ją postawiła. Robiono jej zarzut, że produkowała urzędników. Zarzutowi temu, sformułowanemu na modłę: „post hoc, ergo propter hoc", przeczy fakt, że wszystkie dziedziny naszego życia obdzielone były siłami, które dorosły do swoich zadań, a wśród nich nie brak było i takich, które z chlubą posyłaliśmy na szerszą arenę. Obrzucano ją dalej zarzutem zaustryjaczenia. Powtarzać zarzut ten mógł tylko ktoś, kto nie zna walk, wśród jakich zdobywaliśmy prawa nietylko dla języka, ale i dla ducha naszej szkoły. Zasługa to reprezentacyi krajowej w ciałach ustawodawczych, a całego nauczycielstwa przy pracy w domu, że ze wszystkich tarć honor narodowy wychodził bez ujmy, a w szkole robiło się coraz bardziej swojsko. O rozmyślnem zaszczepianiu ducha obcego nie było myśli. Jeżeli gdzieś przypadkiem jakieś zakusy ze strony jednostek nie rdzennie polskich pojawiły się, piętnowano je tak, jak na to zasługiwały. W rzeczywistości lojalność wobec państwa zaborczego poza planami. które długo historyę Polski okrawały na rzecz historyi ogólno-państwowej, ale bez jej skrzywiania, na które nauczyciel Polak byłby nie pozwolił, poza treścią lektury, która zbaczała ustępami w przynależ-

ność do składu monarchii lub zależność zwierzchnią, ale bez upośledzenia materyału ojczystego, który wybijał się coraz bardziej na główny plan, powtarzam, cała lojalność schodziła na akty urzędowej kurtuazyi, które, przyznać to musimy, ułatwiał nam stosunek dynastyi do naszego narodu, oczywiście po czasy ostatnie, kiedy to różne rewelacye rozwiały naszą wiarę.

W poszukiwaniu winowajców, którzy rzekomo mieli tłumić ducha narodowego na rzecz obcych bogów, wskazuje się nieraz na stronnictwo krakowskie i t. zw. szkołę krakowską. W kuźni, gdzie kuje się takie zarzuty, nie zadano sobie widocznie trudu zajrzeć do „Teki Stańczyka“, choć się ją wymienia jako koran stronnictwa, by zapoznać się z pobudkami owych ludzi, którzy pracę twardą ale realną wstawili w program odzyskania Ojczyzny, wtedy, gdy wszelkie porywy i poświęcenia ofiarne zawiodły, rozmyślnie obarcza się odpowiedzialnością za winy niepopełnione historyczny kierunek naukowy, który dla każdego, kto zna czasy pozytywizmu, jest zupełnie zrozumiały. Co owe kierunki w polityce czy w nauce zdziałały, nie tu miejsce osądzać.

To pewna, że na szkołę nie miały żadnego wpływu, bo nic z nią wspólnego nie miały.

Kto bezstronnie patrzy na te rzeczy, ten niech spojrzy w materyały, jakie gromadziła Akademia Umiejętności dla prac sejmowych, kiedy chodziło o reformę szkoły jeszcze przed tymi półśrodkami, jakie zainaugórował rząd centralny. Jakie tam argumenta w domaganiu się o przeobrażenie szkoły w duchu narodowym! Że szkolna nauka historyi, niezależnie od wszelkich wpływów, nie paczyła umysłów ani nie urabiała ich w duchu obcym, wystarczy wskazać na lekcye Kubali we Lwowie a Rozmuskiego w Krakowie, które zapalały młodzież. Niech te dwa znane nazwiska wystarczą za wszystkie na dowód, że szkoła dążyła do wpojenia należytego zrozumienia historyi ojczystej. Egzamina z tych partyj wypadały pocieszająco nawet w latach dekadencyi.

Kiedy koncentracyę nauki postawiono jako postulat dydaktyczny, nie było przedmiotu, w którym nie odwoływanoby się do dziejów własnych. Kto nieobeznany a ciekaw, niech zaglądnie do książki łacińskiej na klasę I układu Tadeusza Lewickiego, a dowie się, że nawet takim małym łacinnikom każe autor strofę hymnu narodowego ubierać w szatę łacińską. Kto ogląda się za autorytetem władzy, temu świeże orędzie prezydenta Zolla wystarczającem będzie świadectwem, że szkoła nasza była polską i Polaków wychowywała. Z bezprzykładnego na takich stanowiskach tonu szczerości i wczucia się w położenie rzesz nauczycielskich, odnosi każdy wrażenie, że tu naczelny zwierzchnik z całem wypowiada się przekonaniem o troskach i zadaniach społecznych nauczycielstwa w dobie obecnej — zatem i charakter szkoły wiernie określa.

Ze stanu obecnego tej szkoły nikt nie jest zadowolony, potrzeba zmian jest nieunikniona. Ale jakich? Przed wojną mówiono o jej reformie. Pierwsza faza wojny postawiła na porządku dziennym odbudowę. Z zarysowaniem się konturów państwowych wysunięto w szerokich rozprawach i planach zgromadzeń zawodowych budowę od podstaw. W takich dyskusyach myśl rozrasta się, potęguje, dojrzewa. A jednak żadna dyskusya zbiorowa choćby najgwarliwsza, nie skodyfikowała żadnego prawa, ona nie stworzy i systemu wychowawczego. To rzecz głębokiej refleksyi i zbieżności najrozmaitszych zagadnień pod jednym kątem widzenia ujętych.

Dla ilustracyi powołam się na historyę obowiązującego dotąd Zarysu organizacyjnego. Wyszedł on z ducha reformy w chwili, którą w całej Europie jako przełomową pojmowano. Towarzyszyła mu w początkach opozycya, która silnie go zwalczała. A przecież ostał się i jak w następstwach się okazało, dał pewną podwalinę wychowania. Co mu nadawało tę trwałość? Przedewszystkiem sam twórca, człowiek o szerokim poglądzie, prawnik z zawodu o wykształceniu filozoficznem, z górnej perspektywy uchwycił dominujący wówczas prąd kulturalny, neohumanizm i zro-

bił go ożywczym pierwiastkiem swego planu. Ścieśniony bieg szkoły łacińskiej rozstąpił się w szerokie łożysko systemu wychowawczego. Plan nowy dawał całokształt wykształcenia z równoważnym językowym i realnym podkładem. To stanowiło największą jego wartość, którą późniejsze modyfikacye zapoznawały, a wyginana naciskami zmieniających się rządów linia podstawową myśl paczyła.

Po wypracowaniu planu Exner rozejrzał się za zdolnym budowniczym, któryby plan jego przyoblekł w ciało. Wybór współpracownika padł na wytrawnego pedagoga i uczonego, Bonitza, którego powołanie na katedrę filologii w Uniwersytecie wiedeńskim Exner spowodował.

Gdy budowa stanęła, ocenił ją trafnie stojący na wysokości swego urzędu minister Thun i najpierw prowizorycznem, a po czterech latach definitywnem zatwierdzeniem do użytku go oddał. Dla nowej organizacyi trzeba było pozyskać i publiczność, by się do niej przekonała i nauczycielstwo, by z wiarą przystąpiło do jej wykonania. Czynił to Exner w popularnych artykułach w *Wiener Zeitung*, Bonitz w założonem w tym celu czasopismie *Zeitschrift für die öster. Gymnasien* oraz w zawiązanem zrzeszeniu nauczycielskiem *Mittelschule*. Tantae molis erat—stworzyć fundament, na którem oparło się gimnazyum. Nie z późniejszych dobudówek je sądzić, które naruszyły jednolitość planu, ani z deformującej restauracyi, która weń martwotę wprowadziła.

Losy jego podzieliła i szkoła u nas.

Na tym pniu, z którego czasem wystrzelały i dziczki, zaszczepialiśmy nasze latorośle i doprowadziliśmy do pewnego rozrostu, a jeżeli dziś całość przedstawia się nam nie co do wszystkich kształtów zadowalniająco, to raczej nie żałować nożyc ogrodniczych, wyciąć pędy bezforemne lub pasorzytnicze, odczyścić porosty, sprostować skrzywienia, przyspieszyć bieg soków — raczej to wszystko przedsięwziąć, niż wyrębywać całe drzewo z korzeniem. Innemi słowy ze stanowiska naszej dzielnicy myśleć na teraz nie

o budowie ale o przebudowie szkoły Na tworzenie systemu trzeba czasu, spokoju i zespolenia się rozerwanych dotąd części. Musimy w zjednoczeniu naszem uczuć się siłą i z tego uczucia tworzyć.

Projekty przedwojenne płynęły z naśladownictwa wzorów obcych, dzisiejsze inspiruje choćby mimowoli myśl jak najdalszego oderwania się od narzuconych poprzednio ustrojów a nadto wiry chwili obecnej. Wprawdzie z areny sejmowej padło wielkie słowo, że dziś niema stronnictw, jest jedna Polska — i jak się pokazuje z pierwszych początków, padło na ziemię dobrą, bo wydaje owoce w zgodnych postanowieniach i uchwałach, przecież powszechnie przyjmować się dopiero z czasem będzie. Szkoła tymczasem, zdala od falujących nastrojów politycznych. winna i może spełniać zwoje zadanie przygotowania społeczeństwu pożytecznych obywateli. Tchnijmy co prędzej życie w dzisiejsze zastoje, ożywmy je prawdą, przywróćmy wartość świadectwu, tak bardzo zdeprecyonowanemu przez wojnę zwłaszcza świadectwu dojrzałości, które się stało, jak dziś pieniądz, znaczkiem bez pokrycia. Niech świadectwa, które wydajemy, będą zwierciadłem rzetelnej pracy i kulturalnego przeorania umysłów, aby społeczeństwo dokładnie było zoryentowane, jakie siły mu oddajemy. Nie do szerokich deliberacyi i eksperymentowania, ale do bardzo poważnej pracy nawołuje chwila obecna. Usłuchamy jej głosu, gdy do narad nad szkołą dzisiejszą wniesiemy ducha a nie słowa, zwartą myśl wychowawczą a nie rozbieżność próbnych, choćby łudzących, pomysłów.

Dr. Wincenty Śmiałek.

W sprawie reformy naszego szkolnictwa[1]).

Trudna niezmiernie sprawa reformy szkół średnich staje znowu u nas na porządku dziennym i wywołuje najrozmaitsze projekty. Tyle już o niej pisano i mówiono, tyle zdań wprost sprzecznych wypowiedziano o wartości naszych gimnazyów i szkół realnych, o ich potrzebach, o pracy i kształceniu nauczycieli, o wynikach tej pracy, że trudno zoryentować się w tej dyskusyi i możnaby zwątpić o jej pożytku. Ciekawe np. i godne uwagi jest „Sprawozdanie stenograficzne z obrad ankiety w sprawie reformy szkół średnich, odbytej w dniach 27, 28, 29 i 30 października 1898", wydane w r. 1899 we Lwowie (stron 159 in 4-to). Ankietę tę zwołał Wydział krajowy z polecenia Sejmu galicyjskiego dla rozpatrzenia kwestyi, czy należy dążyć do reformy szkolnictwa średniego w tym kierunku, by zamiast obecnych szkół średnich była tylko jednolita szkoła średnia, względnie bifurkacya w klasach wyższych. Dziś kwestya ta stała się znowu w naszym kraju aktualną, bo wszakże większość pedagogów dawnego Królestwa Kongresowego oświadczyła się za jednolitą dla wszystkich szkołą średnią siedmioklasową. Przypomnienie więc tej ankiety będzie z pewnością na czasie.

Jakkolwiek zdania uczestników ankiety, żądających reformy gimnazyów, rozbiegły się w różnych kierunkach i były poniekąd sprzeczne między sobą, to przecież w pewnych punktach zasadniczych schodzili się wszyscy przeciwnicy obecnego ustroju szkół średnich. Uderzano prawie wyłącznie na gimnazyum, ponieważ ono nie zgadza się z duchem czasu (jak mówiono), nie kształci dla życia, urządzone jest całkiem niepraktycznie, a przypisuje sobie bez słusznego powodu wyższość nad szkołą realną, której należy się przeciwnie pierwszeństwo, chociaż i ona nie jest wolna od niedostatków. Żyjemy w wieku pary i elektry-

---

[1]) Myśli, zawarte w tym artykule, wypowiedziałem już po części w rozprawie, zamieszczonej w „Dwutygodniku Katechetycznym" z r. 1899. Dop. autora.

czności, który nie ma już czasu zajmować się gramatyką języków starożytnych, a zwłaszcza greckiego. „Praktyczna celowość jest właściwością, jest prądem obecnej epoki. Czy kiedy dzieła Arystotelesa dokonały takiego przewrotu, jakiego dokonała para?“ (powiedział hr. Rey p. s. 3). Rozum polityczny nakazuje nam zrobić pewne ustępstwo publiczności, niezadowolonej z dzisiejszego gimnazyum i poświęcić greczyznę (s. 4.). Wykształcenie klasyczne jest wymysłem rządów, dążących do absolutyzmu, które od czasów reformacyi „zaczęły poskramiać ducha niezależności i aby swego celu dopiąć, poczęły główny nacisk kłaść na gramatykę tych języków (starożytnych) tak, że mało tylko zostało czasu na nauczanie ducha i całej działalności starożytnych ludów“ (s. 3.).

Dalej żądano jednolitej szkoły średniej z powodu, że wszystkie zawody specyalizują się coraz bardziej i ludzie, pracujący na różnych polach, przestają już jedni drugich rozumieć. „Trzebaby temu zanadto daleko posuwającemu się specyfikowaniu zawodów, temu rozpylaniu się społeczeństwa także i przeciwwagę położyć, a taką skuteczną przeciwwagą będzie jedna wspólna szkoła średnia dla wszystkich, którzy w dalszem życiu mają się rozdzielić na najrozmaitąze zawody, jak techniczny, kolejowy, w instytucyach rachunkowych, bankowych, lub też studyować w uniwersytetach, politechnikach itd. W przeciwnym bowiem razie każdy zawód będzie miał odmienne pojęcie o świecie i w ten sposób coraz bardziej się rozstrzelimy, co się już i obecnie objawia“ (Dr. Kadyi s. 5.). Nadto ma jednolita szkoła uchylić „tę wielką wadliwość, że w 9-tym czy 10-tym roku życia rozstrzyga o przyszłym kierunku zawodu. A przecież w tym wieku nie można wiedzieć, czy umysł będzie do zawodu technicznego czy innego bardziej zdolny“ (p. Romanowicz s. 7.).

Dalej zarzucono gimnazyom, że opuszczający je uczniowie nie umieją logicznie myśleć ani też „dostrzegać — i tego, co spostrzegają, uwidocznić rysunkiem“ (p. Rotter s. 10). Jakkolwiek jednak dużo jest niedostatków w ich

wykształceniu i pod niejednym względem stoją niżej od realistów, to przecież mają wszelką swobodę w wyborze zawodu, kiedy przeciwnie realista nie moża zostać ani urzędnikiem ani lekarzem itd. (ten sam s. 11.). Powiedziano dalej, że filolodzy pragną zachować dzisiejsze gimnazyum dla jednej tylko znacznie mniejszej części (około 20%) umysłów wybranych, dla mniejszości, która „na grymasy idzie“ (?!), a innych odsyłają do szkół realnych, przemysłowych itd., czyli odsuwają od nauki (Dr. Warmski s. 13.).

Inni ubolewali nad tem, że młodzież jest zanadto obarczona pracą (p. Soleski s. 20.) i że większa jej część traci w szkole zdrowie i opuszcza ją anemiczna, zdenerwowana, nie zdolna do czynu (Dr. Jordan s. 18.). Jest ona zarówno pod względem cielesnym, jak i umysłowym całkiem niedołężną; po unięto się nawet do twierdzenia, że „bardziej niedołężnego umysłu, jaki dziś u przeciętnej młodzieży się objawia, chyba wyobrazić sobie nie można“ (p. Soleski s. 20.). Nowe odkrycia naukowe „ignoruje gimnazyum zupełnie bo opiera się na przestarzałych i zupełnie nieodpowiednich zasadach“. Przytem klasyfikuje się ostro i bezwzględnie (ten sam str. 21. i 22.), a „nam potrzeba szkoły, którаby słabszym dopomogła a silniejszych utrwaliła“ (p. Dzieślewski s. 23.). Innym znowu zdawało się, że możnaby w tym samym czasie daleko więcej nauczyć że „nauka języka, rozłożona na 7 lub 8 lat jest tylko mitręgą, od której chłopiec głupieje“ i że młodzież trzeba kształcić „przeważnie w kierunku matematyczno-przyrodniczym“ (p. Szczepanowski s. 25.), ale zarazem trzeba w niej zaszczepiać pierwiastki idealne; u nas tych pierwiastków niema z wyjątkiem tylko „entuzyastów narodowych zapaleńców socyalistycznych i entuzyastów ultra, montańskich“; zresztą jest „wszystko pogrążone w błocie codziennego życia... To jest rezultat naszego wychowania i nauki w szkołach średnich. A wynika to stąd, że celem nauki jest u nas natłoczenie w umysł tych wiadomości jakie są potrzebne do zdania egzaminu i zajęcia stanowi-

ska, a nie wyrobienie samodzielności umysłu, zamiłowania do nauki i metody uczenia się“ (ten sam s. 27.).

Oskarżano też szkołę dzisiejszą, że nie jest przejęta duchem „narodowym“ (p. Romanowicz s. 6, Soleski s. 22.) i że mało się troszczy o wychowanie młodzieży (p. Romanowicz s. 7, hr. Rey s. 39, ks. Czartoryski s. 87. i inni).

Inne zarzuty nie zwracały się przeciw samemu planowi, ale przeciw nauczycielom i władzom szkolnym. Powiedziano n. p., że w nauczaniu historyi trzymają się dotychczas systemu pamięciowego (s. 30.), że „studya przyrodnicze są udzielane metodą filologiczną“ (s. 35.), że katecheci źle pojmują swoje zadanie (ks. Czartoryski s. 87.), że profesorowie tracą dużo czasu „na pytanie i klasyfikowanie,“ zamiast uczyć (Dr. Warmski s. 81.), że są zanadto skrępowani przepisami (p. Soleski s. 68. sq.) itd.

Ostatecznie przyjęto większością głosów (18 przeciw 13) wniosek hr. Reya:

„Podstawę reformy ma tworzyć system szkoły średniej o wspólnej nauce w niższych klasach i przy zaprowadzeniu w dalszych klasach bifurkacyi na kierunek humanistyczny i realny z łaciną.

„W klasach o kierunku humanistycznym zamiast greki podawaną będzie wyczerpująca nauka o kulturze greckiej. Nauka języka greckiego pozostaje przedmiotem względnie obowiązującym.

„Przystęp do uniwersytetu przysłużać będzie maturzystom obydwóch kierunków“.

Za tym wnioskiem głosowali ci członkowie ankiety, którzy oświadczyli się przeciw dzisiejszemu podziałowi szkół średnich na gimnazya i szkoły realne i domagali się reform radykalnych, a nawet i ci, którzy poprzednio przemawiali za całkowitem usunięciem filologii klasycznej. A więc pokazało się ostatecznie, że chodziło im głównie o to, żeby 1-e) wybór „kierunku humanistycznego“ lub „realnego„ następował dopiero w klasach wyższych, żeby 2-e) język grecki nie był obowiązkowy dla wszystkich

uczniów szkół średnich; żeby 3-e) realiści zapoznawali się także z językiem łacińskim, który okazuje się jeszcze dzisiaj w licznych zawodach potrzebnym, a wreszcie 4-e), żeby realiści mieli na równi z gimnazyalistami przystęp do uniwersytetów i do wszystkich zawodów, które dziś są dla nich zamknięte. Przeciw wnioskowi oświadczyła się mniejszość, ale mniejszość bardzo poważna, do której należeli też najwybitniejsi właśnie reprezentanci umiejętności, jak Ćwikliński, Tarnowski, Zakrzewski. Nie potrzebuję zaś dowodzić, że w takich szczególnie wypadkach trzeba głosy nie tylko liczyć, ale i ważyć. Nie chcę ubliżyć żadnemu z szanownych uczestników ankiety, którzy głosowali za wnioskiem hr. Reya, ale nie trudno stwierdzić, że wielu z nich okazało zupełną nieznajomość pedagogiki i szkolnictwa. Wprawdzie jeden z nich powiedział w swoich „Aforyzmach o wychowaniu“ [1], że o celach i kierunkach wychowania powinni decydować nie „urzędowi pedagogowie“, lecz „obywatele kraju“, podobnie jak o dobroci butów ma prawo sądzić ten, dla którego są zrobione i który „odczuwa nagniotki“ (s. 4); — jednakowoż jest to porównanie bardzo kulawe: każdemu bowiem wolno zganić robotę obuwia, jeżeli jest za ciasne, ale stąd nie wynika, że szewcy i inni obywatele, nie znający się na szkolnictwie, mają je reformować; wszakże i naprawę butów źle zrobionych i sporządzenie nowych powierza się tylko majstrom szewskim a nie innym „obywatelom kraju“! Nie chcę przez to

---

[1]) Pomimo zaprzeczeń „Słowa Polskiego“ nie ulega wątpliwości, że „Piastem“ jest Szczepanowski, który zresztą powtórzył w ankiecie niejedną myśl, zawartą w „Aforyzmach“, jak np. że dzisiejsza szkoła austryacka zabija zdolności, z któremi do niej uczniowie przychodzą (s. 25.), że Anglicy powinni być dla nas wzorem, że każdy z nich wyposażony jest wielkim zasobem „myśli idealnych“ (?! 26; ale w tem samem przemówieniu czytamy zdanie dla nas pochlebne, że „my wzorów nie potrzebujemy“! — s. 27.) itd. Nie zaprzeczył on też słowom p. Majchrowicza, który przytoczywszy kilka zdań z „Aforyzmów“, dodał całkiem wyraźnie: „Autor broszury oświadczył we wczorajszej swej bardzo rozumnej i duchem obywatelskim owianej mowie“ etc. (s. 65).

powiedzieć, że pedagogowie i władze szkolne nie powinny wcale się troszczyć o zdania rodziców, że powinny trzymać się zasady pewnego dyrektora niemieckiego, który posunął się aż do twierdzenia: „Wo der Vater anfängt, hört der Verstand auf“! — Owszem trzeba uwzględniać skargi rodziców i innych obywatelt i badać, o ile są uzasadnione; ale kto chce zabierać głos w sprawie reformy szkół, powinien wprzód zapoznać się gruntownie z pedagogiką i dydaktyką i nabyć na tem polu pewnego doświadczenia. Obywatele zaś nieświadomi stosunków szkolnych i sądzący o nich tylko na podstawie wspomnień osobistych, albo też na podstawie tego, co mają sposobność zauważyć u kilku uczniów, którzy obecnie do szkoły uczęszczają, będą uogólniali wypadki odosobnione, będą nieraz wydawali wyroki niesprawiedliwe a sprzeczne. Kiedy np. niektórzy członkowie ankiety zapewniali całkiem ogólnikowo, że młodzież gimnazyalna jest obarczona nad miarę, powiedział p. Szczepanowski: „Ja muszę przyznać, że poza szkołą prawie nic dla szkoły nie zrobiłem, a widzę, że mój syn w domu nic nie robi“ (s. 26.). Jedni wyrażali się pesymistycznie o wadach dzisiejszej młodzieży naszej wogóle, a p. Szczepanowski wydał jej najpochlebniejsze świadectwo, mówiąc: „Skoro się tylko u chłopca polskiego czy ruskiego poruszyło sprężyny szlachetności uczuć, ambicyi, to w tej chwili osiągało się bez najmniejszego wysiłku to, do czego żadna metoda i żaden system doprowadzić nie zdoła“ (s, 109.)! — Wielu przemawia przeciw nauce języka greckiego głównie z tego powodu, że ona zapisała się bardzo niekorzystnie w ich pamięci z winy profesora, albo że ich synowie nie mogą sobie dać z nią rady, a drudzy wynieśli przeciwnie najmilsze wspomnienia z lektury Homera i Sofoklesa [1]). — Ks. Czartoryskiemu dał się znów we znaki jeden z katechetów, albo też może słyszał nieuza-

[1]) „Sophocles hat uns geradezu begeistert“ powiedział nie-filolog, dyrektor Reichel o sobie i swoich kolegach („Der Gymnasial-Lehrplan und die Instructionen etc. Verhandl. des Vereines „Inner-öster. Mittelschule“ in Graz“. Wien 1886. s. 70.).

sadnione skargi na kilku księży, uczących w szkołach, więc wnioskuje na tej podstawie, że „w naszych szkołach, począwszy od szkoły ludowej aż do matury w szkole średniej, religia uie jest tak wykładana, jak właśnie człowiek, który ma głębokie uczucie religijne, tego wymaga i wymagać musi, jak społeczeństwo tego wymaga“, — że „forma góruje nad treścią“, że niema „miłości“ itd. (87.). Czyż jednak nie możnaby przeciwstawić temu katechecie wielu innych, serdecznie miłujących młodzież, albo nawet zanadto miękkich i pobłażliwych? — Podobnych przykładów możnaby znaleźć więcej w tem sprawozdaniu.

Zarzuty, podniesione przez członków ankiety, powtórzono już niezliczone razy na zgromadzeniach nauczycieli, w różnych broszurach i dziennikach. Gdybyśmy je chcieli roztrząsnąć w sposób wyczerpujący, musielibyśmy napisać dzieło bardzo obszerne, — którego możeby nikt nie miał cierpliwości przeczytać; poprzestajemy więc tu na kilku skromnych uwagach, dotyczących planu naukowego i praktyki szkolnej

a) Filologia klasyczna ma bardzo wielu przeciwników od czasów Komeńskiego, którzy żądają, żeby młodzież zapoznawano przedewszystkiem z „rzeczami“, z przyrodą ze światem, w którym żyje i w którym ma pracować dla dobra społeczeństwa. Wykształcenie gramatyczne, historyczne literackie, studyum starożytności klasycznej nie przynosi zdaniem tych krytyków żadnego pożytku praktycznego, — gimnazyum więc nie może wychowywać obywateli dzielnych i dobrze pojmujących swoje obowiązki. Co więcej, niektórzy odmawiają wartości całej naszej metodzie książkowej: dziecko powinno uczyć się we wszystkich szkołach, patrząc na rzeczy, a przytem coś robiąc; a więc „realia mają być wykładane z miotkiem, miarą, wagą w ręku, z lupą, mikroskopem“ [1]). Do rozpowszechnienia poglądów tego rodzaju przyczynił się ogromnie wpływ Rousseau'a, który wogóle całe nauczanie szkolne

[1]) Sprawozdanie z ankiety, str. 134.

i książkowe uznał za „przeciwne naturze“ i żądał, żeby dzieci wzrastały na łonie przyrody, zażywając zupełnej swobody. Podobne zdania wypowiadają dzisiaj zwolennicy t. zw. „szkoły pracy“ [1]).

Otóż nie zaprzeczamy bynajmniej, że zaprawianie młodzieży do pracy fizycznej, do robót ręcznych jest z różnych powodów potrzebne i godne polecenia [2]), a przedewszystkiem dlatego, że ono wywiera wpływ zbawienny na wykształcenie charakteru. Samo nauczanie, chociażby najlepsze, samo rozwijanie umysłu nie tylko nie rzeźbi charakteru ale raczej przyczynia się do wychowania ludzi słabych, niezdolnych do samoistnego działania, do energicznych wysiłków, nie panujących nad sobą, zimnych samolubnych intelektualistów. Dziś uważa się prawie powszechnie tylko pracę umysłową za prawdziwie kształcącą, a pracę ręczną, roboty domowe i gospodarskie tylko za potrzebne i pożyteczne ze względu na konieczność życiową. A przecież poucza nas doświadczenie codzienne, że praca na polu naukowem wywołuje bardzo często skutki ujemne w duszy człowieka, który oddaje się jej zbyt wyłącznie, zapominając o obowiązku doskonalenia się w cnotach i działania dla dobra bliźnich. Inne rodzaje pracy daleko więcej dają sposobności do roztropnego używania sił swoich, do trzymania na wodzy swoich uczuć i popędów; — praca zaś umysłowa pociąga za sobą różne niebezpieczeństwa, podsyca upodobanie w sobie samym, zniechęca do zajęć codziennych, a nie zabezpiecza od wybuchów gwałtownych budzącej się nagle namiętności [3]).

Trzeba więc i w szkole uwzględniać znaczenie pracy ręcznej i wogóle pamiętać o tem, że głównym celem każdego wychowawcy musi być wykształcenie szlachetnego charakteru i przygotowanie młodzieży do dobrego speł-

---

[1]) Por. nasz artykuł w Mies. K. i W. z r. 1917, str. 57 nn. i 127 nn.

[2]) Por. art. X. dra Fr. Gołby p. n. „Wpływ pracy fizycznej na moralność młodzieży“ w Mies. K. i W. z r. 1911, str. 145—149.

[3]) Por. Foerstera „Jugendlehre“, wyd. z r. 1915 str. 516 nn.

niania prac, do których będzie kiedyś powołana [1]); ale stąd nie wynika bynajmniej, że nauka języków klasycznych nie odpowiada celom szkoły średniej i powinna ustąpić nauce, o „rzeczach". Doświadczenie wieków dowiodło, że gramatyka tych języków i czytanie arcydzieł literatury greckiej i rzymskiej w oryginale przyczynia się znakomicie do rozwinięcia umysłu i do wykształcenia estetycznego. Stwierdzają też pierwszorzędni przyrodnicy, jak Liebig, Helmholtz, Lothar Meyer i inni, że uczniowie, posiadający wykształcenie klasyczne, okazują się lepiej przygotowanymi także w zakresie nauk przyrodniczych niż wychowańcy niemieckich „gimnazyów realnych". Chociaż bowiem ci więcej uczyli się z historyi naturalnej, matematyki, fizyki itd., nie nabyli jeszcze tem samem większego uzdolnienia do studyów wyższych, które wymagają łączenia wiadomości szczegółowych zapomocą teoryi, wyjaśniających następstwo zjawisk. Dopóki chłopiec nie potrafi pojąć należycie, czem jest prawo natury i na jakiej podstawie stwierdza się istnienie prawa, co można uważać za niewątpliwe odkrycie, a co jest tylko hipotezą mniej lub więcej prawdopodobną, dopóty nie stanął jeszcze na progu umiejętności, chociaż zapoznał się z wielkiem mnóstwem zwierząt, roślin, minerałów itd. „Zarówno obserwacya, jak i wszystkie inne czynniki metodologiczne przyrodoznawstwa: doświadczenie, eksperyment itp. mają poważne znaczenie tylko wtedy, gdy niemi kieruje myśl dojrzała, posiłkująca się tymi czynnikami, jako środkami do rozwiązania pewnych, jasno postawionych zadań naukowych. Samodzielna zaś działalność myśli, jako czynność dodatkowa, uzupełniająca bierne odtworzenie danych obserwacyi, prowadzi do celu i w ogóle ma sens tylko w takim razie, gdy umysł zawładnął zasobem wiedzy, niezbędnym do należytego zrozumienia i wyjaśnienia owych danych. Rzecz jasna, że takiej obserwacyi i takiego wyjaśnienia faktów nie można

---

[1]) Por. dwa artykuły p. n. „Wychowanie społeczne" w Mies, K. i W. z r. 1914/15 str. 521 nn. i z r. 1916, str. 164 nn.

wymagać od ucznia, niezdolnego przyswoić sobie w sposób należyty teoretycznych zasad przyrodoznawstwa. To też „samodzielne“ obserwacye uczniowskie mają zazwyczaj charakter bardzo przypadkowy, dotyczą tylko rażących zewnętrznych właściwości zjawisk i przedmiotów, a nie dokonywają się pod kierownictwem własnej przewodniej myśli niedojrzałego obserwatora. Są raczej rozrywką, aniżeli samodzielną pracą umysłową; rozrywką, często bardzo przyjemną i pożądaną dla ucznia, gdy odpowiada jego zdolnościom i nastrojowi indywidualnemu, mającą atoli za skutek, jak każda rozrywka, nie ześrodkowanie działalności umysłowej w pewnym ściśle określonym kierunku, lecz jej rozproszenie stosownie do siły i jakości czynników zewnętrznych, oddziaływającychh na zmysły“[1]). *X. A. P.*

(C. d. n.)

Z naszej dziedziny.

II. Kontakt osobisty.

Na samym wstępie katechetycznej pracy — przed laty zresztą niezbyt wielu — zetknąłem się przypadkiem i to niemal równocześnie z dwoma kapłanami, których słowa o stosunku katechety do młodzieży, uzzpełniając się wzajemnie, dziwnie głęboko wyryły się w mej pamięci.

Jeden z nich, człowiek młody, pełen zapału do pracy katechetyczno-wychowawczej, głęboko wykształcony, a przytem bezgranicznie niemal oddany ukochanej przez się młodzieży, wyraził się wśród dyskusyi, że olbrzymia część wpływu i owocnej działalności katechety zależy od osobistego, najczęściej poza szkołą, zetknięcia się z młodzieżą, poznania jej przez to jak najdokładniejszego, w skutku zaś możliwie indywidualnego traktowania, które chyba nigdzie nie jest tak pożądane i tak subtelne, jak w dziedzinie religii i religijnej pedagogii.

---

[1]) Struve „Wstęp krytyczny do filozofii“. Warszawa 1896 r., str. 657.

Drugi, w rozmowie wychodząc z innego stanowiska, starał się udowodnić tezę, że katechetura wogóle jest i może być dla kapłana tylko etapem działalności, tylko przejściowym okresem pracy, trwającym tak długo, jak długo utrzymuje się w jego psychice zdolność do akomodacyi duchowej do młodzieży, zdolność do utrzymania z nią kontaktu żywego, osobistego, wzajemnego.

Z chwilą, gdy katecheta starzeje się i zdolność tę traci, niechaj czemprędzej opuszcza swe stanowisko, bo nic już na niem nie zdziała. Sam mój czcigodny interlokutor tak właśnie postąpił w pełni męskiego wieku, obejmując poważne w dyecezyi stanowisko duszpasterskie.

Więc znowu kwestya kontaktu, choć z innej strony oświetlona, stała się kwestyą decydującą.

Warto może zatem tej sprawie parę chwil uwagi poświęcić i zbadać bliżej istotę kontaktu samego, zarówno jak czynniki, które go ułatwiają, względnie utrudniają. Zdaje mi się, że decydującym tutaj momentem będzie p o j m o w a n i e p r a c y k a t e c h e t y c z n e j j a k o s z k o l n e g o w c a ł e m t e g o s ł o w a z n a c z e n i u d u s z p a s t e r s t w a.

Prawda, że teoretycznie rzecz biorąc, duszpasterstwo to zakresem swej władzy nie może ani równać się n. p. z duszpasterstwem wojskowem, gdzie kapelan jest dla swego pułku zupełnie niezależnym proboszczem, ale też z drugiej strony ani niema tutaj potrzeby tak rozległych kompetencyi, ani nie byłoby to w duchu Kościoła (dla którego i wojskowa „cura animarum“ jest pewnego rodzaju anomalią, jak militaryzm wogóle), który zupełnie słusznie widział i widzi w osobie katechety pomocnika i zastępcę proboszcza w dziedzinie szkolnej.

To też nic dziwnego, że właściwie jedyna „facultas“ duszpasterska katechety to przyznana mu władza udzielania dyspenzy postnej członkom grona nauczycielskiego i młodzieży.

A jednak niezaprzeczenie w praktyce duszpasterstwo szkolne, to kraina obszerna i rozległa — nasza rzecz, by

nadto żyźną była i urodzajną. Nie może zaś taką być i nie będzie bez ciągłego osobistego zetknięcia się pasterza z owieczkami, bez kontaktu. Niema też chyba nikogo, ktoby tego nie przyznawał.

Chcielibyśmy naprawdę mieć młodzież w ręce, skarżymy się gorżko, że się nam z tej ręki wymyka, że zamiast kontaktu, między większością jej, a katechetą wytwarza się przedział, czasem nawet przepaść...

Zapewne, że niezmiernie wiele znaczy tu osobistość katechety, o której tak wiele się mówi i pisze.

Darmo! Sympatya i antypatya, choć tak często fałszywe, tak nieuchwytne, grają w życiu ludzkiem i grać będą zawsze olbrzymią rolę Trzeba się z tem liczyć, surowo się badać i obserwować i nawet upatrywać w tem pewną oznakę wołania Bożego, lub nie, do tej właśnie dziedziny pracy.

Ale nie możemy też nie doceniać ani na chwilę tych wszystkich czynników, które dadzą możność, ułatwią osobisty stosunek nasz do każdego ucznia z osobna.

Dwie naczelne, jasne zresztą, możnaby tu postawić zasady. Pierwsza ta, że ściśle brana praca szkolna, to jest na godzinach religii wyłącznie, jest w tej dziedzinie co najwyżej cząstką i punktem zaczepienia.

Druga ta, że musi być usilnem staraniem naszem, aby bliższy stosunek z młodzieżą wyrabiał się powoli i zupełnie naturalnie, jakby sam z siebie, bez nacisku, bez sztuczności, bez szukania popularności.

Że dwie godziny religii na tydzień, godziny, z których jedna w dodatku jeszcze tak często wypada, są niczem w dziedzinie bliższego zetknięcia się z młodzieżą, nikt chyba nie wątpi. Jest to tak mało, że ani materyału wyczerpać, ani pracy uczniów i ich postępów skontrolować, ani rzeczy dokładnie powtórzyć niepodobna. Gdzież tu mowa o bliższem poznaniu duszy chłopca, jego charakteru, usposobienia, zalet i wad, wpływu środowiska i t. d., które to właśnie szczegóły, a nie odpowiedź i nota, są właściwym czynnikiem szkolnego duszpasterstwa.

Jeśli więc nie chcemy dopuścić, aby się nam młodzież z pod wpływu wysuwała, musimy wynaleść, musimy stworzyć teren, na którym byśmy działać mogli.

Tym terenem zaś w głównej mierze może być tylko pozaszkolne życie naszej młodzieży. Kontakt stworzony tam, da się później przenieść w życie szkolne. Obieranie drogi odwrotnej zdaje mi się mniej pewne i mniej bezpieczne, zwykle nawet z braku czasu niemożliwe.

Naogół bowiem młodzież naszą, jako teren tej pracy, podzielićby można na dwie kategorye Młodzież, przychodząca ze wsi do gimnazyum, przynosi z sobą zwykle więcej zaufania i życzliwości dla księdza, niż młodzież miejska, czy to z domów inteligentnych, czy rzemieślniczych i robotniczych. Nasza praca równomiernie winna obejmować jedną i drugą, a rozsądek i oryentacya w warunkach miejscowych wskażą, gdzie lepiej zacząć. Najczęściej skupi się około księdza poczciwa młodzież wiejska, przeważnie uboga i opuszczona, w mieście zwłaszcza większem, a obok niej lepsze, pobożniejsze jednostki z domów inteligencyi naprawdę katolickiej. Przez tych, strzegąc się, jak największej klęski, jakiegokolwiek faworyzowania i nierównomierności w postępowaniu, można będzie powoli, nieznacznie, oddziaływać na zbliżanie się innych.

Gdzie szukać sposobności?

Może to kogoś i zdziwi, gdy powiem, — nie w rzeczach religijnych!

Dlaczego? Młodzież wogóle jest podejrzliwa. Zanim przekona się i ujrzy w swym księdzu ojca i przyjaciela, upłynie czasem rok, dwa i trzy. Nieraz zresztą, wyznajmy szczerze, sparzyła się niestety tu i ówdzie na pragnieniu większego zbliżenia się, a takie rzeczy znacznie dłużej pokutują w pokoleniach szkolnych i znacznie szerzej rozchodzą się przez ciągłą wymianę młodzieży po zakładach, niżbyśmy wogóle kiedykolwiek przypuszczali. Dalej młodzież męska zwłaszcza starsza, a o tę głównie chodzi,

zawsze ma wrodzony lęk przed jakiemś wyimaginowanem i fałszywie pojętem świętoszkostwem, bigoteryą. Idąc na jej spotkanie odrazu z żywym Różańcem, czy Sodalicyą, źlebyśmy najczęściej wyszli. Trzeba zacząć wiązać nici od czego innego. Pokierować dobrze szkolną „Pomocą koleżeńską“, biblioteką dla ubogich uczniów, kasą oszczędności czy sklepem gimnazyalnym — to znaczy już zrobić nietylko początek, ale bardzo wiele. To znaczy bowiem stać się w życiu młodzieży pewnym ośrodkiem, o który ona mimowolnie, a nieustannie ocierać się musi. A z tego tarcia (w dobrem znaczeniu), jak w dynamo-maszynie, spontanicznie wytworzy się prąd, co potem przez kontakt pocznie grzać, oświetlać i ciągnąć...

Przedziwnie się to robi i pięknie, choć cicho i nieznacznie.

Chcesz chłopcze książkę pożyczyć — proś katechety; chcesz dać zbytni grosz kolegom ubogim — daj przez katechetę, bieda ci dolega — idź do księdza, chcesz złożyć parę koron zaoszczędzonych — poproś księdza i t. d. i t. d. Niewiadomo, kiedy, jak i przez co, ten ksiądz staje się wszystkiem, zjawia się nieustannie na ustach młodzieży w jej koleżeńskich rozmowach, może... może za łaską Bożą staje się u nich „naszym“ księdzem, może naprawdę kochanym, cenionym i — co najważniejsze, — słuchanym!

Słuchanym wówczas, gdy uczy z katedry, słuchanym, gdy rzuca ziarno Boże w egzorcie, słuchanym, gdy radzi, napomina i karci. Jakżeż inne, zgoła inne echo wywołają jego słowa w młodych duszach, gdy ma prawdziwą, nekłamaną u nich sympatyę.

A niech on jeszcze pójdzie z chłopakami raz i drugi na wycieczkę i weźmie z sobą parę koron na mleko i chleb, na jabłka czy czereśnie, niech założy jakieś kółko, świeckie zrazu, n. p. etyczne lub społeczne, niech serdeczną uwagę i pomoc, jeśli uzna za stosowne, zwróci ku skautowi, niech upomni u siebie w cztery oczy delikatnie i taktownie, a z ogromną miłością, błądzącego, niech wreszcie zjawi się w domu uczniowskim, na stancyi, w razie choroby u łoża

chorego z serdecznem słowem pociechy, z wesołym żartem i dowcipem — a może być pewien, że stworzył stały i silny kontakt, że sam stał się „dobrym przewodnikiem“ dla tego niewidzialnego prądu, który płynie przez serca i dusze.

Jeśli to zrobione, po paru latach można już bezpiecznie myśleć o skupieniach czysto religijnych, o kółkach kościelnych, o Sodalicyach.

Na takim fundamencie budowane nie ulękną się zarzutów, ni podejrzeń, ni obaw — za Bożą pomocą i błogosławieństwem rozwiną się prześlicznie i nieść będą owoce nad podziw.

Czy jednak naogół tak się w szkołach naszych praca i sprawa przedstawia? Niestety! Przedewszystkiem księża katecheci, zwłaszcza młodzi, nie mają odpowiedniego wolnego czasu. Wobec fatalnego „suplenckiego“ uposażenia. a jeszcze bardziej wobec braku duchowieństwa, muszą obok katechetury pełnić inne, nie rzadko duszpasterskie funkcye — a tu, jak widzieliśmy, trzebaby być katechetą i tylko katechetą, katechetą od świtu do późnej nocy.

Powtóre, ogółem biorąc, praca społeczna w szkole, zwłaszcza ta czysto świecka, często jeszcze (kto wie, czy nie z naszej winy) dostaje się w niepowołane, „świeckie“ ręce, które niejednokrotnie, zwłaszcza gdy z poza szkoły sięgają drapieżnie po dusze i serca młodzieży, wyrywają je nam bezpowrotnie.[1])

A wreszcie wyznajmy i to, — mało jest do tej pracy, do takiego kontaktu, zawodowego, pedagogicznego wykształcenia, a nie rzadko zdarzy się i owo patrzenie na katecheturę jako na etap, na szczebel ku beneficyum, nad czem trzeba ubolewać bardzo z punktu wychowania, wpływu i kontaktu.

Boć przecież — śmiem, pokornie zresztą, sądzić, — raz nawiązany kontakt z młodzieżą i dobrze wykształcona

---

[1]) Por. artykuł podpisanego p. t. *Wychowanie społeczne* w Mies. katech. i wychow. r. 1916 (kwiecień) str. 164—170.

zdolność akomodacyi, nie muszą zrywać się i mijać z wiekiem. Wszak z wiekiem przychodzi coraz większe doświadczenie, coraz pewniejsza metoda, coraz większa łatwość pożycia... I dodajmy fakt stwierdzony przez starców — młodzież odmładza. Te twarze rumiane, uśmiechnięte, pełne życiowego optymizmu, ta krew gorąca, to życie rozpierające piersi promienieją szeroko i działają na wychowawców i nauczycieli.

Czyż nie znaliśmy starych profesorów, kochanych przez młodzież, umiejących mimo późnego wieku ustrzedz się dziwactw i śmieszności, umiejących zachować kontakt z młodzieżą, często bardzo serdeczny, osobisty i umiejących trwać na stanowisku z pełnem skarbów doświadczeniem aż do czcigodnej siwizny?

Potuerunt hi et hae...

A zresztą pamiętajmy, że ów kontakt tajemniczy to rzecz obustronna. Młodzież, gdy raz go nawiąże, nie zerwie go już ni szybko ni łatwo. Jedno pokolenie pokazywać go będzie drugiemu, a katecheta duszpasterz bez wysiłku nawet ze swej strony podtrzymywać go będzie niewielu słowami i czynami... w późnej nawet starości opromieniony pociechą, radością, szczęściem płynącem ze spełnianych w życiu i w pracy słów Boskiego Mistrza: *który wchodzi przez drzwi, pasterzem jest owiec. Temu odźwierny otwiera, a owce słuchają głosu jego: i nazywa owce swe mianowicie i wywodzi je. A gdy wypuści owce swe, idzie przed niemi: a owce idą za nim, bowiem znają głos jego...* (Jan 10, 2-4).

Zakopane. *X Józef Winkowski.*

Egzorta o cudach Chrystusowych.

(Dla klas wyższych).

„Czyny, jakie wykonywam, świadczą o mnie, że Ojciec mnie posłał". (Jan 5, 36).

Była to chwila rozstrzygająca o losach całego świata, kiedy arcykapłan żydowski zadał postawionemu przed jego sądem Zbawicielowi zapytanie ostatnie, — nie po to, żeby dowiedzieć się prawdy, ale żeby Go potępić: „Zaprzysięgam Cię,

na Boga żywego, byś nam powiedział, czyś Ty jest Chrystus, Syn Boży?" — Nigdy jeszcze nie słyszano na ziemi takich słów, pełnych wzniosłego majestatu, jakie teraz usłyszeli obłudni i nie znający litości sędziowie: „Odrzekł mu Jezus: Sameś powiedział. Atoli oświadczam wam: odtąd ujrzycie Syna człowieczego, siedzącego na prawicy wszechmocy Bożej i przychodzącego na obłokach niebios" [1]). Słowa te stwierdzają prawdę najważniejszą ze wszystkich, jakie możemy poznać, że ten oto najpokorniejszy z ludzi, który dał się związać jak baranek i poprowadzić na rzeź, aby nas Krwią swoją przenajdroższą odkupić, jest zapowiedzianym przez Proroków „Synem człowieczym", którego ujrzą kiedyś Jego sędziowie, przychodzącego po raz drugi z wysokości niebios na to, żeby sądzić żywych i umarłych i oddać każdemu według uczynków jego. Wiedział P. Jezus, że słowa te będą uważane za bluźnierstwo i spowodują wyrok: „Winien jest śmierci!" Byłyby też one bluźnierstwem, albo dowodem obłędu, gdyby nie były prawdą, — prawdą stwierdzoną największymi i niezliczonymi cudami: „Idźcie i opowiedźcie Janowi, coście widzieli i słyszeli:" — rzekł Chrystus do posłańców swego Poprzednika — „Ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci czystymi się stają, głusi słyszą, umarli powstają" (Mat. 11, 4 — 5). Oto znaki, przepowiedziane przez Proroka Izajasza (35, 5), po których mieliśmy poznać obiecanego ludzkości Zbawiciela, znaki niezawodne, bo sam tylko Bóg może czynić cuda, może umarłych przywoływać na nowo do życia i wzrok przywracać ślepym, a słuch głuchym i leczyć wszelkie choroby i kalectwa takim sposobem, jak to czynił Zbawiciel.

1) Napróżno siliło się niedowiarstwo od tylu wieków i sili się dotąd podać w wątpliwość cuda Chrystusowe, które przecież należą do najpewniejszych faktów historycznych. Jedni wychodzą z założenia, uważanego przez nich za pewnik, za dogmat, że nic nie istnieje na świecie oprócz materyi, że to, co nazywamy duszą, to tylko są zjawiska, towarzyszące ruchom atomów mózgowych, że niema żadnej siły, któraby mogła cośkolwiek sprawić, oprócz sił materyalnych, działających trybem zawsze niezmiennym według praw przyrody. Gdyby to było prawdą, w takim razie cuda byłyby rzeczywiście niemożliwe, ale trzeba być zaiste bardzo łatwowiernym, żeby uwierzyć, iż cały ten przedziwnie wspaniały nasz wszechświat, że wszystkie ustroje ludzkie, zwierzęce i roślinne zawdzięczają swoje powsta-

[1]) Mat. 26, 63—64 (cytujemy słowa wszystkich Ewangelii w przekładzie X. Szczepańskiego).

nie ślepym i przez nikogo nie kierowanym siłom przyrody! Nie tylko słońce i księżyc i niebo zasiane gwiazdami, ale każdy kwiatek polny i nasza własna dusza mówi nam o istnieniu Tego, który wszystkie jestestwa powołuje do bytu, wszystkim wytyka cele i drogi i utrzymuje wśród nich ład i porządek. On ustanowił prawa, którym podlega cała przyroda i z pod których żadna rzecz stworzona wyłamać się nie może, ale On sam nie jest temi prawami skrępowany. W pewnych więc wypadkach wyjątkowych czyni On cuda, a zwłaszcza w tym celu, żeby dać świadectwo swoim posłańcom i stwierdzić że w Jego imieniu przemawiają i że nauka ich jest prawdziwą. Dlatego działy się cuda w Starym Zakonie, dlatego rozstąpiły się fale Morza Czerwonego na rozkaz Mojżesza i spiętrzyły się fale Jordanu, gdy lud izraelski wchodził do Ziemi obiecanej, dlatego Apostołowie i pierwsi głosiciele nauki Chrystusowej mieli moc cudotwórczą, dlatego i dzisiaj jeszcze ślepi odzyskują wzrok, a chorzy zdrowie w Lourdes i w Częstochowie i wielu innych miejscach, ściągających corocznie tysiące pielgrzymów.

2) Dlatego też Chrystus dowodził swego posłannictwa bardzo wielu cudami, które sprawiały, że ogromne tłumy cisnęły się do Niego i uwierzyły w Jego godność mesyańską i których nawet najzawziętsi Jego wrogowie nie mogli zaprzeczyć: „Cóż mamy począć?“ — mówili w swojem gronie przedniejsi kapłani i faryzeusze po wskrzeszeniu Łazarza — „cóż mamy począć, gdyż człowiek ten działa liczne cuda!“ (Jan, 11, 47). Nigdy nie śmieli oni pomówić Go o jakieś praktyki oszukańcze, zarzucali mu tylko, że wykracza przeciw prawu Mojżeszowemu, kiedy uzdrawiał także w dzień sobotni, albo posuwali się aż do twierdzenia, że On musi być w zmowie z Belzebubem i że mocą księcia dyabelskiego wyrzuca czarty. Mógł też Zbawiciel powoływać się publicznie na znaki, które czynił, bez obawy, że ktoś zaprzeczy ich prawdziwości: „Jam jest“, — powiedział On do faryzeuszów — „który świadectwo daję o Sobie i świadczy o Mnie Ojciec, który mnie posłał“ (ib. 8, 18). „Czyny bowiem, które zlecił mi Ojciec, bym spełniał, — same czyny, jakie wykonywam, świadczą o mnie, że Ojciec mnie posłał“ (ib. 5, 36).

3) Nigdy jednak nie okazywał On tej mocy swojej dla popisu, dla wywyższenia siebie, dla chwały własnej, dla zadziwienia widzów. On czynił cuda tylko dla chwały Bożej i powodowany miłością ku cierpiącym i nieszczęśliwym braciom swoim: i tak przywraca On życie zmarłemu młodzieńcowi w Naim, jedynemu synowi zrozpaczonej matki, leczy chorą, która z wiarą i ufnością dotknęła się kraju szaty Jego, leczy biedaków, opu-

szczonych przez wszystkich, którym Boskie Jego serce nie może odmówić pomocy. Za to nie chce zaspokoić próżnej ciekawości Heroda i woli znosić szyderstwo jego dworu, a potem pozwala się przybić do krzyża i słucha w milczeniu urągań kapłanów: „Innych wybawiał, — siebie samego wybawić nie może! Jeżeli jest królem Izraela, niechże teraz zstąpi z krzyża, a uwierzymy w Niego!“ (Mat. 27, 42). Ale to była godzina poniżenia, godzina męki, po której miał nastąpić cud zmartwychwstania i tryumf wniebowstąpienia! Nie może to osłabić wiary wierzących, bo przecież wiemy, dlaczego On nie chciał siebie samego wybawić; — nie umniejsza to wiarogodności Ewangelistów, kiedy opowiadają szczerze i po prostu o Jego pohańbieniu i ukrzyżowaniu ci sami, którzy przedtem ukazali nam w Nim największego cudotwórcę.

4) Najrozmaitsze już wymyślono przypuszczenia, żeby podkopać wiarę w cuda Chrystusowe: pewną ich część zaliczono do podań legendarnych, bo przecież — jak powiedziano — uciszenie jednem słowem burzy na morzu, albo stąpanie po jego falach nie jest możliwe. Inne próbowano w sposób prawdziwie śmieszny przedstawić jako proste oszustwo, jak np. cudowne rozmnożenie chlebów: oto Apostołowie ukryli w jakiejś grocie ogromne zapasy chleba, które Chrystus rozdzielał, stojąc przed grotą, rzesza zaś ludu nie widziała, że mu je podawano z groty i myślała, że jest świadkiem wielkiego cudu! O tego rodzaju twierdzeniach trudno mówić poważnie, — najtępszy prostak nie dałby się w ten sposób oszukać. Różne zaś uzdrowienia próbują wytłumaczyć tak, że Chrystus nosił ze sobą jakieś lekarstwa innym nie znane, albo też sądzą, że On leczył podobnie, jak dziś leczy się nieraz nerwowo chorych przez sztuczne usypianie i tak zw. „sugestyę“, czyli poddawanie im pewnych wyobrażeń. Ale gdzież — po pierwsze — są jakieś dowody na to, że to były osoby nerwowo chore? — A po drugie: gdzież jest choćby cień podobieństwa pomiędzy uzdrowieniem ruszonego powietrzem lub świekry Piotrowej, leżącej w gorączce, a usypianiem chorego na nerwy? — Gdzież podobieństwo między czynnością lekarza, która wymaga dłuższego czasu i stosowania różnych środków, a tem, co czynił Chrystus, uzdrawiając chorych? — Lekarstw nie podawał żadnych, ale najczęściej wypowiadał jedno tylko słowo, posiadające moc cudotwórczą: „Chcę, bądź oczyszczon!“ — „Wstań, weź łoże swoje i chodź!“ — „Idź syn twój żyje!“ — „Wiara twoja ciebie uzdrowiła!“ — Oto Jego lekarstwa! Ale może Ewangeliści zamilczeli umyślnie o używanych przez Niego lekarstwach? W tym razie trzebaby im zarzucić, że historyę zupełnie sfał-

szowali i — co więcej — że całe chrześcijaństwo, które największego przewrotu dokonało w dziejach i nową sprowadziło epokę i tak nieocenione i niezliczone następstwa dobroczynne, — zawdzięcza swe powstanie wielkiemu, niesłychanemu oszustwu i że oszustami byli ci, którzy głosili naukę ewangeliczną i w obronie jej prawdziwości poddawali się ochotnie najokropniejszym męczarniom!

5) Fakt, że nauka Chrystusowa pozyskała sobie ogromny zastęp gorących zwolenników i rozszerzyła się tak szybko po całej ziemi, nie da się wyjaśnić bez cudów. Czyż bowiem Żydzi byliby mogli przyjąć jako Mesyasza ubogiego i nieznanego nikomu przybysza z Nazaretu, gdyby nie dowodził posłannictwa swego wielkimi cudami? Wszakże ten człowiek czynił się większym od Mojżesza, Dawida i wszystkich Proroków, panem szabatu, głosił nowy zakon, wymagający ciężkiego zaparcia się miłości własnej, wielkich trudów i poświęceń, pokory, czystości, zamiłowania ubóstwa; — któż byłby Mu uwierzył i za Nim poszedł, gdyby nie widział w Nim wyraźnie mocy nadludzkiej, gdyby nie było prawdą, co powiedział do Niego Nikodem: „Mistrzu, wiemy, żeś przyszedł od Boga jako nauczyciel. Nikt bowiem nie mógłby takich działać cudów, jakie Ty czynisz, jeśliby Bóg z nim nie był“? (Jan, 3, 2).

6) Jeżeli więc, dr. bracia, usłyszycie od kogoś twierdzenie, że cuda wogóle są niemożliwe, albo że opowiadania Ewangelistów o cudach Chrystusowych nie należą do niewątpliwych faktów historycznych, nie dajcie się w błąd wprowadzić takiemi mowami, ale powiedźcie raczej wątpiącemu, żeby zapytał się o to jakiegoś męża uczonego lub przeczytał sobie jaką dobrą książkę o wiarogodności Ewangelii. Pamiętajcie zresztą o tem, że jest świętym waszym obowiązkiem strzedz, jak oka w głowie, drogiego skarbu wiary świętej, nie dać jej sobie wydrzeć, modlić się o jej zachowanie, unikać wszystkiego, coby ją mogło osłabić! „Bez wiary niepodobna podobać się Bogu“, ona jest podwaliną całego naszego życia duchowego, bez niej niema cnoty prawdziwej, zasługującej na żywot wieczny, bo chociaż i ludzie nie wierzący mogą spełniać niekiedy uczynki, którym trzeba przyznać dobroć „naturalną“, nie jest to dobroć, jakiej domaga się i ma prawo domagać się Pan nieba i ziemi, Boski nasz Mistrz i Zbawiciel. On jeden mógł powiedzieć o sobie: „Jam jest drogą i prawdą i żywotem; nikt nie przychodzi do Ojca, jak tylko przezemnie“ (Jan 14, 6) „Jam jest pierwszy i ostatni, początek i koniec... Oto przychodzę rychło, a zapłata moja ze mną jest, abym oddał każdemu według uczynków jego“ (Obj. 22, 13, 12). — Amen. *X.*

Miłość ku Chrystusowi dźwignią społecznego postępu.

(Egzorta dla klas wyższych[1]).

„Przyszedłem ogień puścić na ziemię, a czegoż chcę jedno aby był zapalon?“ (Łuk. 12, 49).

Nigdy nie mówiono tyle i z taką dumą o postępie ludzkości, jak w ostatnich kilkudziesięciu latach przed wojną, która tak przerażająco ponure na ten postęp rzuciła światło. Ileż to zdobyczy naukowych wartości nieocenionej zawdzięczamy wiekowi 19-mu! Jak daleko posunęliśmy się naprzód na drodze cywilizacyi! O ileż wyżej stoimy od barbarzyńskiego średniowiecza! Jak mądre mamy ustawy i urządzenia społeczne! A oto przyszła wojna i upokorzyła strasznie dumę chwalców postępu, — rozpętała wszystkie namiętności, dała swobodę najdzikszym popędom, zalała krwią i zasypała gruzami najpiękniejsze krainy i uczyniła niepamiętne w dziejach spustoszenie. Czyż to nie powinno było otworzyć oczu wszystkim zaślepionym zwolennikom rzekomego „postępu“ i przekonać ich, że tą drogą nie dojdą do celu, do uszczęśliwienia ludzkości? Jeżeli kiedy, to w latach ostatnich mogli się oni przekonać, że opuściwszy Chrystusa, nie postąpili naprzód, ale się cofnęli, — cofnęli ku wiekom pogańskim. Zastanówmy się więc dzisiaj nad tą prawdą ogromnej doniosłości, że warunkiem koniecznym i dźwignią prawdziwego postępu społecznego jest przejęcie się duchem Chrystusowym i miłość ku Niemu, a wrogiem postępu jest burząca się przeciwko Niemu pożądliwość!

1) Największy krok na drodze postępu zrobił z pewnością rodzaj ludzki wtenczas, gdy poszedł za wezwaniem Tego, który powiedział o sobie: „Jam jest droga, prawda i żywot“ (Jan 14, 6), który przyniósł na ziemię ogień miłości i w sobie kazał wszystkich miłować bliźnich. Najpotężniejsze, najbardziej oświecone, najbogatsze państwo ówczesne upadało coraz niżej pod względem moralnym i ulegało rozprzężeniu; wszystko w niem psuło się, butwiało i tylko władza despotyczna cezarów była jakby obręczą żelazną, ratującą je od rozpadnięcia się zupełnego. Nikt nie myślał o pracy dla ogółu, o oświecaniu i dźwiganiu warstw niższych, o poprawie stosunków społecznych. Samolubna żądza używania była jedyną kierowniczką tych, którzy używać mogli; bogaci oddawali się szalonej rozpuście, a hasłem tłumów ubogich było: „Panem et circenses! — Chleba i igrzysk cyrkowych!“ Żądały tylko tego, żeby je kar-

---

[1]) Por. egz. „O postępie“, gdzie temat ten inaczej jest przeprowadzony, w Mies. K. i W. z r. 1914, str. 36 nn.

miono na koszt państwa i żeby dla ich zabawy urządzano owe widowiska, na których wspomnienie krew ścina się w żyłach, bo wszakże byli to gladyatorzy, którzy musieli staczać walki krwawe z lwami i tygrysami i mordować jedni drugich dla uciechy panów świata, nie znających litości! Świadczy to o największem zepsuciu, o najsromotniejszym upadku moralnym owego społeczeństwa. A ludzie wykształceni, stojący na wyżynie ówczesnej cywilizacyi, czy troszczyli się cokolwiek o podniesienie warstw niższych, czy myśleli o jakiejś działalności dla dobra publicznego, — o tem, co nazywamy pracą społeczną? — Oto w ich imieniu tak przemawia jeden z największych pisarzy rzymskich, Horacy: „Odi profanum vulgus et arceo!“ — Nienawidzę ciemnego tłumu i odpycham go od siebie!“ On nie poczuwał się wcale do obowiązku oświecania tego tłumu, do dźwigania go z upadku, — on żywił dla niego pogardę i nienawiść i nie chciał mieć z nim nic wspólnego; — wolał zamknąć się w kółku swoich przyjaciół i z nimi zażywać rozkoszy, jakie tylko mógł znaleźć.

2) Tu pokazuje się najlepiej, jakie potęgi złowrogie powstrzymują ludzkość na drodze postępu: jest to owa potrójna pożądliwość, o której mówi św. Jan Apostoł: (I, 2, 16): „Albowiem wszystko, co jest na świecie, jest pożądliwość ciała i pożądliwość oczu i pycha żywota, która nie jest z Ojca, ale jest z świata!“ „Pożądliwość oczu“ — to chciwość, to namiętna, nie umiarkowana chęć posiadania dóbr ziemskich. Ludzie, przez nią opanowani, myślą tylko o zbogaceniu się własnem, — nic ich nie obchodzi dobro bliźnich, byleby tylko sami mieli jak najwięcej, choćby kosztem sił i zdrowia i życia swych braci. Chciwość kazała Grekom, Rzymianom i tylu innym kupować niewolników, którzy dla nich musieli pracować, jak bydło robocze, albo jak bezduszne machiny. Bogaci miewali setki i tysiące niewolników, którzy uprawiali ich role, albo obsługiwali ich warsztaty za nędzną tylko żywność, katowani często okrutnie za najmniejsze przewinienia lub błędy. Tym sposobem wzrastały z roku na rok ogromne majątki, powiększały się rozległe posiadłości ziemskie, ale zarazem podupadała coraz bardziej ludność włościańska, a o postępie społecznym nie mogło być mowy. „Pożądliwość ciała“ — to żądza rozkoszy zmysłowych, zwierzęcych, powstrzymująca od wszelkich dążeń wyższych, szlachetniejszych, godniejszych człowieka. Taki nie chce nic wiedzieć o prawdziwym postępie, o uszlachetnieniu i podniesieniu ludzkości, — on raczej nazwie „postępem“ wyzbywanie się starych wierzeń religijnych, krępujących jego popędy, zrywanie węzłów małżeńskich i wszystkiego, co mu jest niewy-

godne i nie pozwala mu całkiem swobodnie „używać świata, póki służą lata“! A czyż wreszcie i pycha nie tamuje postępu? Człowiek, przez nią opanowany, dąży przedewszystkiem do wywyższenia siebie, do władzy nie lubi stawać w szeregu razem z innymi i łączyć się z innymi do wspólnej pracy, poddawać się kierownictwu mądrych i doświadczonych. uczyć się od nich; — on siebie uważa za najmędrszego, za swoim tylko idzie rozumem i w ten sposób psuje każdą robotę, zamiast w niej pomagać. Cóż dobrego zrobiła pycha owych monarchów i wodzów, którzy kierowali losami narodów i bywali sprawcami ich nieszczęść, — albo owych filozofów — pogańskich i ochrzczonych, — którzy zamiast nauczać prawdy, szerzyli potworne nieraz błędy?

3) Ale oto przyszedł Zbawiciel i wydał wojnę tej potrójnej pożądliwości, zachęcając do umiłowania cnót jej przeciwnych: do umiłowania ubóstwa, czystości, pokory. I wnet „odnowiło się oblicze ziemi“, bo zaszły na niej zmiany prawdziwie cudowne: ludzie bogaci rozdawali swe mienie ubogim, tworzyli zakłady dobroczynne, wyrzekali się wszelkiego zbytku, zstępowali z pałaców swoich do chat nędzarzy; — królowie usługiwali chorym po szpitalach, w każdym poddanym widzieli swego brata, wszystkich starali się dźwigać i prowadzić do szczęścia doczesnego i wiecznego; — zakonnicy uczyli pracować, karczować lasy, uprawiać ziemię, byli przodownikami oświaty i cywilizacyi; — pyszni przedtem wojownicy korzyli się przed posłańcami Chrystusa, słuchali ich głosu, wkładali miecz wydobyty do pochwy na ich wezwanie, prosili o przebaczenie win swoich. Kiedy np. cesarz Teodozyusz, splamiwszy się rzezią, w Tessalonice dokonaną, chciał wejść do kościoła w Medyolanie, zaszedł mu drogę św. biskup Ambroży i zabronił mu wstępu; — a gdy cesarz przypomniał mu grzech Dawida, odpowiedział mu nieustraszony mąż Boży: „Jeżeliś, cesarzu naśladował błądzącego Dawida, naśladuj także pokutującego!“ — I oto cesarz nie obraził się tem żądaniem, ale poddał się pokucie publicznej, wyznaczonej mu przez biskupa, dając przez to dobry przykład poddanym. — Jakaż to różnica między pogańskiem pojęciem władzy monarszej a chrześcijańskiem! Cezar rzymski kazał sobie oddawać cześć boską i nie było rzeczy, którąby uznawał za niedozwoloną sobie; nie było obowiązku do któregoby się poczuwał; — zwierzchnik chrześcijanin żąda posłuszeństwa, — ale on wie, że ma władzę swoją od Boga, że mu ta władza powierzona jest dla dobra podwładnych, że mu nie wolno jej nadużywać, że on sam ma być pokornym sługą Bożym.

4) Nieocenione są więc dobrodziejstwa, któremi obdarzyła ludzkość religia Chrystusowa: ona kazała w każdym człowieku widzieć brata, miłować nawet wrogów, troszczyć się o dobro maluczkich, chorych i nędzarzy, zniosła niewolnictwo, przywróciła kobiecie należne jej prawa, uczyła oświecać i wychowywać młodzież, pracować i poświęcać się dla bliźnich, — jednem słowem: wprowadziła ludzkość na drogę prawdziwej, godnej tego miana kultury. Żeby zaś tego dokonać, musiała zwalczać ową potrójną pożądliwość, panującą na świecie i tamującą postęp społeczny. Jedna zaś tylko jest siła nadprzyrodzona, która może odmienić serce ludzkie i zapanować nad pożądliwością oczu, pożądliwością ciała i pychą żywota, — siłą tą jest miłość ku Chrystusowi. Poganie mieli mnóstwo bogów, których się bali, którym składali ofiary, ale o miłości ku tym bożkom nie było nawet mowy. Dopiero Chrystus zjednoczył ludzkość z Bogiem przez miłość, jak sam powiedział: „Przyszedłem puścić ogień na ziemię, a czegoż chcę jedno aby był zapalon?“ (Łuk. 12, 49). I skoro tylko Kościół powstał, po Jego wniebowstąpieniu, zaczęła się ta miłość wyrażać w słowach prawdziwie płomiennych i cudownych, nigdy przedtem nie słyszanych: „Któż nas odłączy od miłości Chrystusowej?“ — woła św. Paweł (Rzym, 8, 35 nn.) „Utrapienie? czyli ucisk? czyli głód? czyli nagość? czyli niebezpieczeństwo? czyli prześladowanie czyli miecz?... Pewienem że ani śmierć, ani żywot, ani aniołowie,... ani insze stworzenie nie będzie nas mogło odłączyć od miłości Bożej, która jest w Chrystusie Jezusie Panu naszym“. Albo posłuchajmy, co w Rzymie odpowiedziała kusicielowi młoda, wątła dziewczynka, dziecko jeszcze, św. Agnieszka. „Precz odemnie, pastwo śmierci, inny ciebie uprzedził: Chrystus wycisnął na mojem obliczu znamię swojej miłości i nie mogę już kochać nikogo prócz Niego. Jemu jednemu dochowam wierności, Jemu jednemu oddałam się cała. Poślubiłam Tego, którego majestatowi służą Aniołowie i którego wspaniałość podziwiają słońce i księżyc. On dał mi swój pierścień, ozdobił mnie swoją koroną. Idź precz odemnie, ja miłuję Chrystusa! Tak, miłuję Go, bo Jego miłując, pozostaję czystą, z Nim zaślubiona, pozostaję dziewicą!“ — Cóż to za słowa, nigdy przedtem nie słyszane! — A nie były to tylko słowa, bo św. dziewica poszła bez obawy, z radością nawet, na śmierć męczeńską dla chwały swego Oblubieńca i w obronie wiary prawdziwej. A takiem uczuciem płonęło serce każdego z owej nieprzeliczonej rzeszy Świętych, którzy oddali się Chrystusowi na służbę. Były między nimi ogromne różnice pod względem zdolności wrodzonych, usposobień, stanu, powołania,

rodzajów pracy, ale nie było żadnego, któryby całą duszą nie miłował Chrystusa: bohaterstwo Świętych, to cud miłości tej, podniesionej do najwyższej potęgi, idącej w ślad za Chrystusem, służącej bliźnim, jak On służył wszystkim, dopóki żył na ziemi.

5) I wy, dr. bracia, pamiętajcie zawsze o tym głównym i właściwym celu, dla którego zakłada się szkoły i kształci się w nich młodzież: nie chodzi tu o samo nabywanie wiedzy, ani o zdobycie jakiegoś stanowiska wśród społeczeństwa; — chodzi raczej o to, żeby każdy z was przygotował się do pracy dla chwały Bożej i dla pożytku swych braci i wedle sił swoich przyczynił się opuściwszy szkołę, do podniesienia i uszlachetnienia swego narodu, czyli do dobrze pojętego postępu. Ale to nie byłoby dla was możliwe, gdybyście nie przejęli się serdeczną miłością ku Temu, który was pierwej umiłował, który dla was, dla waszego szczęścia stał się człowiekiem, który o każdym z was myślał i w stajence betlehemskiej i w cichym domku nazaretańskim i dźwigając swój krzyż na Golgotę i umierając na krzyżu dla waszego zbawienia! Z Nim zjednoczeni miłością i w Jego wstępując ślady, będzie mogli spełnić zadanie, jakie On wam wyznaczy i zasłużycie się dobrze ojczyźnie i całej ludzkości, a zarazem i sobie samym zapewnicie szczęśliwość i w tem życiu i w przyszłem, — co daj Boże wam wszystkim! — Amen. *X.*

Z prasy peryodycznej.

„Rok Polski“. Czasopismo poświęcone zagadnieniom życia narodowego. Rok III. Czerwiec — wrzesień 1918.

„Rok Polski“ jest pismem poważnem, starannie redagowanem i szczerze dbającem o rozwój naszego życia narodowego. Dlatego sądzimy, że można je polecić i Duchowieństwu polskiemu, — chociaż niektóre jego rozprawy musiały wywołać pewne zarzuty ze strony katolickiej [1]). W zeszycie za czerwiec 1918 r. znajdujemy między innymi artykuł bardzo dobry O. Woronieckiego O. P. p. n. „Konkordat czy rozdział“, roztrząsający kwestyę pierwszorzędnej wagi, jak mu ułożyć się w państwie polskiem stosunek tegoż do Kościoła. Zgadzamy się zupełnie na to, co szan. Autor pisze o dobrych i złych stronach

---

[1]) Por. nasze art. p. n. „Prof. Chrzanowski o Cieszkowskim“ (Mies. K. i W. z r. 1917, str. 100 i 127 nn.) i „Nowy pogląd na istotę i zasługi kulturalne romantyzmu“ (tamże str. 253 nn. i 317 nn.).

konkordatu, ale sądzimy, że dobre strony przeważają; trzebaby tylko zastrzedz się przeciw mieszaniu się państwa do spraw czysto kościelnych, nominacyi biskupów, kanoników, proboszczów itd. Władze duchowne powinny mieć w swoim zakresie wolność zupełną. „Charakterystyka twórczości M Konopnickiej" (napisana przez M. Dynowską) jest w ogólności trafną i sprawiedliwą: autorka oddaje pochwały temu, co zasługuje na pochwałę ale zarazem zwraca uwagę na słabe strony dzieł Konopnickiej, a zwłaszcza „Pana Balcera", o którym mówi całkiem słusznie, że „pomimo poszczególnych piękności, jest dziełem w całości chybionem" (str. 399). W zeszycie za lipiec i sierpień pisze O. Woroniecki „o przyszłości ruchu skautowego w Polsce", podnosząc ważność tego ruchu i podając trafne wskazówki praktyczne. Prof. Ign. Chrzanowski ocenia działalność ś. p. Stanisława Tarnowskiego jako krytyka literackiego Artykuł ten napisany jest wybornie i broni Tarnowskiego przeciw niesłusznym, czynionym mu zarzutom, ale musimy zakwestyonować niektóre zdania tu wypowiedziane, jak np to, co autor mówi o pięknie; pisze on się bowiem bez żadnych zastrzeżeń na zdanie Witkiewicza, że „miarą piękna jest nasz stan subjektywny wobec pewnego zjawiska" i że niema żadnego piękna objektywnego (str. 446). Gdyby to było prawdą, nie możnaby nawet mówić ani o piękności przyrody, ani arcydzieł sztuki, tylko o wrażeniach, których doznają różne jednostki na widok tych arcydzieł. Na str. 450 zapewnia p. Chrzanowski, że „reformacya" odegrała w historyi literatury polskiej XVI. wieku, a „oświecenie" w historyi odrodzenia duchowego w w. XVIII. „ogromną i błogosławioną (?!) rolę".

W art. p. n. „Sztuka a społeczeństwo" dowodzi p Władysław Kozicki, że nowe państwo polskie powinno koniecznie udzielać wydatnego poparcia i sztukom pięknym, ponieważ są one każdemu społeczeństwu niezbędne. Powinno ono dbać o swoich twórców, zabezpieczać im utrzymanie i możność tworzenia, młodych a zdolnych wysyłać za granicę na wyższe studya itd. Z tem zdaniem zgadzamy się zupełnie, ale nie możemy się pisać na cały szereg innych zapatrywań, które tu wypowiada autor. Już gdzieindziej) mieliśmy sposobność zwrócić uwagę na niejasność i bałamutność jego poglądów filozoficznych i estetycznych. Oto według niego nieszczęściem było dla Michała Anioła i dla sztuki, że nie mógł się pozbyć wiary

---

[1]) Por. ocenę jego książki p. n. „Michał Anioł". Lwów 1908 r. („Nauka i Sztuka" tom VIII.) w Gazecie Kośc. z r. 1908 str. 420 n.

w istnienie druglego, lepszego świata, w prawdziwość Ewangelii, że był chrześcijaninem, — że nie znał jeszcze nowej „ewangelii“, zwanej „wiedzą radosną“, a głoszonej przez Nietschego! (Str. 2 — 3). Nawet idealnie piękna Pietà w kościele św. Piotra i Stworzenie świata w kaplicy Sykstyńskiej mają dowodzić, że Michał Anioł tworzył w duchu wprost sprzecznym z katolicyzmem!

P. Kozicki jest przeciwnikiem chrześcijaństwa i jego etyki, dlatego też oświadcza się i w tym artykule przeciw wszelkim ograniczeniom twórczości artystycznej przez jakiekolwiek względy na wymagania religii i moralności. „Sztuka“, pisze on na str. 563 zeszytu za wrzesień 1918 r. „jeżeli nie ma zwyrodnieć, musi być wolną, musi zrzucić z siebie wszelkie więzy społeczne, polityczne, m o r a l n e i r e l i g i j n e Jeśli szanujące siebie społeczeństwa domagają się słusznie wolności prasy, z tem większym naciskiem winny domagać się zupełnej wolności sztuki..... Jeśli społeczeństwo jest zdania, że niektóre dzieła ujemnie wpływają na moralność pewnych kół, np. na dorastającą młodzież, to niech się postara o to, aby takie książki nie dostawały się do rąk młodzieży. Pod żadnym jednak warunkiem nie wolno mu ograniczać swobody tworzenia“ i td. Znamy tę piosnkę oddawna i wiemy, jaką demoralizacyę szerzą nieraz nawet talenty wybitne w imię swojego „prawa do swobodnego tworzenia“. Sam zresztą autor czyni pewne ustępstwo na rzecz moralności, kiedy pozwala społeczeństwu starać się o to, żeby „niektóre dzieła nie dostawały się do rąk młodzieży“ i pozwala „tępić“ „piśmidła, które pod płaszczykiem rzekomego artyzmu polują świadomie na zdeprawowane upodobanie lubieżników“.

Nie możemy też zgodzić się na to, co autor pisze o istocie i zadaniu sztuki (w zeszycie za lipiec — sierpień 1918 r., str. 486 nn.). Według niego „pogląd dawnej estetyki, iż celem sztuki jest p i ę k n o, został już powszechnie zaniechany jako przestarzały i fałszywy“; — dlatego, że „gdzie na pierwszy plan wysuwają się wartości psychiczne, zmienne, nieuchwytne i zawsze tajemnicze objawy duszy, tam już kryteryum piękna zawodzi zupełnie Czyż pięknym można nazwać Mojżesza Michała Anioła lub jego Sąd Ostateczny? Czyż piękne jest choćby jedno dzieło takiego geniusza, jak Rembrandt? Czyż pięknym jest Otello, gdy dusi niewinną Desdemonę, Hamlet, gdy walczy z paraliżującym wpływem ducha autokrytyki“ itd.? Na to wystarczy odpowiedzieć, że i „dawna estetyka“ znała doskonale różne rodzaje piękności: piękność pogodną, harmonijną, klasyczną i piękność wzniosłą, romantyczną, tragiczną — i umiała cenić obok Rafaela także Michała Anioła, Velasqueza,

Rembrandta, — obok piewców Hellady ponury tragizm Szekspira. Że sam autor dziwne ma pojęcie o sztuce, o tem świadczy już zestawienie na str. 490: „Czyż m elibyśmy odmówić miana sztuki dziełom Molièr'a, Zoli, Maupassanta, Anatola France'a, Bernarda Shawa, Mereditha, Fredry, Sienkiewicza“ itd. Więc nawet Zola tworzył według niego dzieła sztuki godne tej nazwy!

W innych artykułach — treści politycznej — zasługujących także na przeczytanie, odbił się niekorzystnie dla pisma wpływ krępujący austryackiej cenzury wojennej, która często kreśliła tak niemiłosiernie najoględniejsze nawet uwagi krytyczne, dotyczące polityki niemieckiej i austryackiej. Miejmy nadzieję, że już nigdy pisma polskie nie będą podlegały cenzurze tego rodzaju! *X. P.*

Lwowskie **„Muzeum“** zamieściło w zeszytach za maj i czerwiec z 1918 r. artykuł Z Smoluchowskiej p. n. „Wychowanie dziewcząt, jakiem jest, a jakiem być powinno“. który zasługuje n. zd. na uwagę. Autorka oświadcza się całkiem słusznie przeciw szkole „jednakowej dla chłopców i dziewcząt“ i żąda gruntownej reformy całego wogóle szkolnictwa średniego: Wychowanie dziewczyny powinno przedewszystkiem przygotować ją do zadań, czekających ją prawdopodobnie w przyszłości, powinno jednak być zupełnem, t. j. powinno dawać jej w przyszłości możność nietylko spełniania umiejętnie obowiązków żony i matki, ale też ewentualnie obrania sobie jakiegoś zawodu, odpowiadającego jej zdolnościom i upodobaniom W dzisiejszej zaś szkole średniej obciąża się zanadto umysły uczenic (podobnie jak i uczniów) materyałem czysto pamięciowym, a pomija się prawie zupełnie przygot wanie do życia realnego, praktycznego, a także zaniedbane jest bardzo wychowanie moralne. Przygotowanie sił nauczycielskich jest całkiem niedostateczne. Kandydaci na profesorów szkół średnich nie składają przy egzamiaie dowodu, że zajmowali się psychologią młodzieży, metodyką nauczania, dydaktyką swego przedmiotu. Są profesorowie, którzy wprost ujemnie i szkodliwie oddziaływają na młodzież.

Także w wychowaniu domowem nie uwzględnia się wymagań hygieny fizycznej i moralnej.

Uznając jednak słuszność zarzutów autorki, musimy dodać, że są w artykule i takie zdania które świadczą o niedostatecznej znajomości literatury pedagogicznej. Tu mamy na myśli przed innymi krótki ustęp o koedukacyi (str. 254 n.). — Autorka nie przemawia wprawdzie za jej wprowadzeniem do naszej szkoły średniej, ale zapewnia, że wspólne kształcenie chłopców i dziewcząt „nie wydało nigdzie złych rezultatów“.

A tymczasem ankieta, urządzona w tej sprawie w Badenii. dała wynik wogóle ujemny. O wpływie dziewcząt na chłopców uszlachetniającym i dodającym bodźca nie wie nic większość nauczycieli badeńskich („Südwestdeutsche Schulblätter, nr. 6 i 7 z 1909 r., cyt. przez Foerstera „Schule u. Charakter“, wyd. 11-e z 1912 r., str. 67). Za to obie strony przyzwyczajają się do sztucznej równości“, która nie przygotowuje bynajmniej do wielkiej nierówności ciężarów i potrzeb obu płci w małżeństwie. Do tej nierówności daleko lepiej zastosowane jest dawne wychowanie. Płeć niewieścia upodabnia się w tej szkole do męskiej, nabiera większej samodzielności i hartu, ale najwyższe zdolności niewiasty i najpewniejsze rękojmię szczęścia domowego pozostają nie rozwinięte.

W miesięczniku amerykańskim „Atlantic Monthly“ pojawiła się w 1908 r. rozpr. p. n. „Why American Mariages fail“ („Czemu małżeństwa amerykańskie nie są szczęśliwe?“), w której autorka podaje jako przyczynę zanik prawdziwej kobiecości w nowszym typie niewieścim amerykańskim. Wytworzyła się w nim „mieszanina chłopca, udającego coś wielkiego i nieokrzesanego z źle wychowaną i kapryśną damą z półświatka“. W wychowaniu wziął górę amerykanizm nad chrześcijaństwem. Jeden z najwybitniejszych pedagogów amerykańskich Stanley Hall twierdzi wprost, że wychowanie wspólne prowadzi do „zwyrodnienia typu niewieściego“ (Foerster l. c. str. 68). T. zw. „Burschikosität“ nie nadaje się wcale dla dziewcząt, one nie powinny naśladować chłopców. „Nauka wspólna“ — mówi Foerster (l. c str. 72 dop) „sprzeciwia się wszelkim przykazaniom hygieny i pedagogiki“. P.

Nowe książki.

Ks. Jan Rostworowski T. J. Obrazki z życia Zbawiciela. Kraków 1918 r. Wyd. Apostolstwa modlitwy (ul. Kopernika 26). Stron 395. Cena 8 kor. brosz. 12 kor. opr.

Wywieziony przez Rosyan, przebył czcigodny Autor 3 lata na Sybirze, gdzie jednak miał możność pracy misyonarskiej bardzo owocnej. Książkę, którą mamy przed sobą, napisał u stóp śnieżnego Ałtaju. Opowiadania w niej zawarte drukowane były najpierw w czasopiśmie kijowskiem „Lud Boży“ p. n. „Obrazki z życia i męki Zbawiciela, według ks. Maurycego Meschlera T. J.“ Z początku bowiem Autor zamierzał tylko

(jak czytamy w Przedmowie) przełożyć kontemplacye o życiu Chrystusowem. wyjęte z dzieła Meschlera „Die Exercitien des hl. Ignatius v. Loyola, ale w miarę jak praca rosła, zamiar pierwotny uległ zmianie, — „obrazki“ nabierały coraz większej samodzielności. Rozdziałów, przełożonych z Meschlera mniej więcej zupełnie, jest około dziesięć (na 40), inne zaś zawdzięczają mu tylko niektóre myśli

Autor opowiada w sposób żywy, zajmujący i budujący, stylem barwnym i pięknym, życie P. Jezusa, począwszy od Jego narodzenia aż do wniebowstąpienia. Trzyma się wiernie Ewangelii, dodaje tylko z własnej fantazyi pewne rysy i szczegóły, których nie znalazł w księgach świętych, które jednak mogły mieć miejsce w rzeczywistości Niektóre z tych szczegółów możnaby uważać za zbyteczne, jak np. wyliczanie potraw, które miano spożywać przy uczcie weselnej w Kanie galilejskiej (str. 112). Wogóle jednak trzeba przyznać książce jego zalety pierwszorzędne i nie wątpimy, że i młodzi i starzy znajdą w niej pokarm duchowny, za który będą bardzo wdzięczni czc/g. Autorowi. *X. P.*

Ks. Kazimierz Naskręcki. Historya Kościoła katolickiego w krótkim zarysie. Kijów, 1917 i 1918. Dwie części. Stron 323.

Nie posiadamy jeszcze dotąd — niestety — historyi Kościoła, którąby odpowiadała zupełnie i pod każdym względem swojemu celowi. Do lepszych „zarysów“ tej historyi trzeba n. zd. zaliczyć świeżo wydaną książkę X. Naskręckiego. Szan. Autor zestawił tu dużo wiadomości, które składają się na obraz ogólny dziejów zewnętrznych i wewnętrznych Kościoła, uwzględniając wyniki badań najnowszych i doprowadzając opowiadanie swoje aż do Benedykta XV. Znaczną część książki poświęcił — całkiem słusznie — historyi Kościoła polskiego. Kto nie ma czasu i ochoty do czytania dzieł obszerniejszych, francuskich lub niemieckich, może dużo korzystać z tego podręcznika, który nie wywołuje żadnego zarzutu natury zasadniczej. Różne tylko mogą być zdania o pewnych szczegółach, czy wciągnięcie ich było tu potrzebne, — o innych zaś, czy nie należało ich dodać. Tak np. można było n. zd. opuścić na str. 235 nazwiska kilku zwolenników Jansenizmu, bo same te nazwiska nie mówią jeszcze nic czytelnikowi. Za to przydałoby się na str. 94 jakieś pouczenie dokładniejsze o sporze, wywołanym przez słowa, których użył Gall o św. Stanisławie; jest bowiem rzeczą wątpliwą, czy wyraz „traditor“ znaczy w tem miejscu tyle, co „zdrajca“. Bardzo by to było dziwne, gdyby Gall rzucił tak ciężkie oskarżenie, nie dodając żadnego uzasadnienia. Wyraz ten może oznaczać także „nauczyciela“. — Za

mało też mówi Autor o znaczeniu religii katolickiej dla dziejów narodu polskiego.

Wysłowienie jego jest — wogóle mówiąc — poprawne i potoczyste; gdzieniegdzie jednak zakradły się usterki językowe; tak np. czytamy na str. 168: „t a k o w y c h“ zamiast „ich“ („takowy“ = „taki“); — na str. 170 (w dop.): „gdzie się mówi“ zam. „gdzie mówi Apostoł“; — na str. 235: „nibyto z uczucia niegodności“, zam. „dlatego, że czuły się rzekomo niegodnemi“ itp. *X. P.*

Ks. Kazimierz Naskręcki. Dogmatyczno-moralna nauka rzymsko-katolickiego Kościoła w krótkim zarysie. Wydanie d r u g i e. Kijów — Warszawa 1916. Stron 166.

Autor, prefekt w Kijowie, napisał podręcznik ten (jak czytamy w Przedmowie) dla szkół, w których z powodu szczupłej liczby uczniów katolików nauka religii odbywa się tylko raz na tydzień, w których zatem używanie książek obszerniejszych jest wprost niemożliwe. Jest to większy katechizm, przeznaczony dla klas średnich, zawierający jednak — oprócz zwyczajnych pytań i odpowiedzi — przykłady budujące i cytaty. Treść podręcznika obmyślana jest starannie i — ogólnie mówiąc -- odpowiada jego celowi. Wysłowienie jest ścisłe i poprawne. Sądzimy tylko, że znaczną część osnowy można było podać w formie wykładu — bez pytań (jak uczynił np. bardzo dobrze X. B o c z a r w swoim katechizmie). Tak np. niepotrzebne jest n. zd. pytanie 158: „Kto był matką P. Jezusa?“ Pewne zresztą zmiany będą w nowem wydaniu konieczne już ze względu na postanowienia nowego kodeksu (jak w nauce o poście str. 118 nn.). *P.*

Ks. Dr. Wacław Kalinowski. Apologetyka. Podręcznik szkolny dla klas wyższych. Wydanie t r z e c i e, poprawione i uzupełnione. Kijów. Idzikowski. 1917. Stron 116.

Pierwsze wydanie podręcznika wyszło w r. 1913 (polecilismy je w Mies. Kat. i W. z tegoż roku na str. 518 n.). Fakt, że już po 4 latach okazało się potrzebnem wydanie trzecie, dowodzi, że wielu XX. prefektów uznało książkę za dobrą i zaprowadziło ją w swoich szkołach. Jest ona rzeczywiście jednym z najlepszych naszych podręczników apologetyki i świadczy korzystnie o uzdolnieniu i głębszych studyach młodego jeszcze Autora. Znajdujemy tu te same zmiany, które poczynił Autor już w drugiem wydaniu, a mianowicie dodane są ustępy nowe p. n. „Systemy niewiary“ — „Wartość ksiąg St. Testamentu“ i „Posłannictwo narodu żydowskiego“. Nadto są zmiany w dowodach na istnienie Boga, które przyczyniły się do ulepszenia książki. Jednakowoż sądzimy, że jeszcze niejedno dałoby się zrobić w tym kierunku, a w szczególności byłyby

potrzebne rozdziały początkowe o możliwości poznania prawdy i o sceptycyzmie, bo cóż pomogą wszelkie inne dowody, jeżeli uczeń, opuszczający szkołę średnią, nie będzie umiał odpowiedzieć na twierdzenie, dziś tak rozpowszechnione, że wogóle nigdy nie możemy mieć pewności, czy to, czego uczy filozofia i religia o Bogu, o duszy i t. d., zgadza się rzeczywiście z prawdą? — Natomiast niewielkie mają znaczenie dla młodzieży wiadomości o kodeksach Pisma św. (str. 49, 61) i dowody autentyczności ksiąg Nowego Testamentu (str. 57 nn.). Wątpliwości te podnieśliśmy już w recenzyi pierwszego wydania tej książki i żałujemy, że one są w drugiem i trzeciem tylko w małej części uwzględnione. *X. A.*

M. Nałęcz. Nauka życia. (Etyka). Kijów — Warszawa. Idzikowski 1916. Stron 158 w 8 ce.

Dopiero niedawno otrzymaliśmy tę książkę, wydaną w czasie wojny i pospieszamy ją polecić Szan. Czytelnikom jako podręcznik głęboko obmyślany i wielką posiadający wartość Poucza on o wielu rzeczach, o których nie mówią inne podręczniki etyki, oświetlając wszystko ze stanowiska katolickiego, przyczem korzysta i z poezyi i z licznych dzieł naukowych, polskich, francuskich i innych; — szkoda tylko, że wielka część literatury pedagogicznej i psychologicznej stała mu się niedostępną w czasie, gdy pisał swą książkę, bo rozpoczął ją pisać w chwili zajęcia Warszawy przez Niemców (jak zaznacza w dopisku 3. na str. 7).

W części pierwszej („Etyka ogólna“) mówi o „ideale etycznym“, którym ma być według niego „ideał doskonalenia się“: o „kryteryum etycznem“ i o warunkach działania etycznego o „świadomości umysłu“ i o wolności woli, której dowodzi krótko, a dobrze. „Etykę szczegółową“ dzieli na „indywidualną“ (obowiązki względem ciała, względem ducha, względem Boga) i „społeczną“ (poszanowanie osób, obowiązek miłości i miłosierdzia, — obowiązki względem rodziny, społeczeństwa, narodu, państwa, Kościoła).

Bardzo dobre są między innymi ustępy o „kwestyi seksualnej“ (str. 51 nn.), o „obowiązkach względem rozumu“ (o potrzebie wykształcenia ogólnego i zawodowego, o przymiotach wiedzy, o czytaniu książek, str. 55—64).

Za mało mówi autor o sztuce (str. 64), poprzestając na kilku cytatach — i o „prawdomówności“ (str. 103): tu niema nawet wzmianki o t. zw. „restrictio mentalis“, którą przecież w wielu wypadkach można i trzeba uznać za dozwoloną. *X. P.*

Z beletrystyki.

Czesław Halicz. **„Młodość Hanny Turskiej“**. Kijów — Warszawa. Idzikowski 1914. Stron 291.

Treść: Historya studentki, która wreszcie otrzymuje w Belgii stopień doktora filozofii. Przez to jej życie studenckie przewija się parę jej „miłości“ epizodów. Ocena ich swobodna aż nadto. N. p. na str. 212.: „Nie skalała duszy swojej w tej orgii zmysłów, bo dusza jej, jakby odeszła na bok i w głębokiem zdumieniu, płacząc, przypatrywała się temu, co zaszło“...

Poglądy na wartość życia — wiotkie.

Zapatrywania religijne całkiem błędne. Por. str. 199.: „religia pzyszłości wyzbędzie się wszelkiej dogmatyki, nie będzie jedyną, ale każdy będzie miał swój czysto — wewnętrzny symboliczny kult religijny. Jedną z takich religii przyszłych społeczeństw będzie sztuka“ (sic!).

Przeciwko nieśmiertelności duszy na str. 137 i. n.

Powieść kończy się małżeństwem Hanny z Janem Kęckim, inżynierem, który ją jednak opuszcza dla „sprawy“. — Dalsze tło: rewolucyjne.

Marya Rodziewiczówna. **„Macierz“**. Powieść, wyd. 2. Str. 268.

Historya dwu dusz nieszczęśliwych, Szczepańskiego i Magdy Kałaur.

Jego — straszna tragedya rodzinna zatruwa jadem nienawiści i zemsty, — ją — zaniedbanie moralne wyrzuca poza nawias w społeczeństwie.

Ale podnosi się Magda przez litość, jaką jej Szczepański okazał. A gdy została matką, tyle nabiera hartu i mocy, że sama się ratuje i jego odwodzi od zamiarów pomsty. — Tęczą perspektywy spokojnego życia (zdala od ludzi) kończy się ta krótka historya moralnych rozbitków.

Bo wystarczy, by w jednem małem sercu ludzkiem *dobroć prawdziwa* się znalazła, a lekarstwem się stanie niezawodnie i dla otoczenia.

Helena Mniszek. **„Gehenna“**. Księg. Rzepeckiego. 1918. T. I. Stron 311.

Wyraźna obrona „wolnej miłości“. By „prawa zmysłów“ silniej wystąpiły, daje autorka tło *ad hoc*: tyrania ojczyma wobec pasierbicy, który przeszkadza jej małżeństwu z wybranym, a sam na nią ostrzy sobie apetyt (Kościesza — Andzia Tarłówna).

Lora Smoczyńska, wyzywająca w lesie do rozpusty uczciwego Olelkiewicza, mówi wyraźnie: „za młoda jestem i za

ładna na sakrament i nie w głowie mi takie nonsensa (sic!)“ str. 128.

Sceny takie jak: naga Lora przed lustrem (str. 113 i n.).

Jeśli „Trędowata“ nosi stempel idealistyczno-romantyczny, to „Gehenna“: zmysłowy bardzo wybitnie. Ze względu na poczytność utworów autorki wśród pensyonarek i t. p. może ta powieść niejednej duszy zaszkodzić, wnieść ferment, a choćby przedwcześnie i niezdrowo budzić instynkty.

M. Rodziewiczówna. „Czahary“. Wyd. II (bez daty), pow.

Predylekcyą Rodziewiczówny jest kreślenie *postaci kobiecych*: silnych, *wykończonych*, poważnych. Taką jest i Zośka Janicka. Ratuje znaczną część majątku rodzinnego (w tem uroczy kącik Polesia: Czahary). Ocala brata-rozbitka, Wacława; leczy go ze spleen'u i godzi z żoną. „Obłaskawia“ Poleszuka, Kasyana, pierwszego draba i zawadyakę w okolicy.

Bardzo dużo materyału do poznania Polesia i jego mieszkańców.

Starsze uczenice powinnyby dostawać do czytania takie powieści zamiast Daniłowskiego, Zapolskiej i in., za które chwytają aż nadto skwapliwie.

Nominacye i wiadomości osobiste.

Archid. lwowska ob. łać.

Mianowani: XX. Dr. Szczepan Szydelski, profesorem zwyczajnym (ad pers.) teologii fundam. w Uniw. lwowskim; — Maryan Pomersbach katechetą szk. wyd. żeń. im. Tańskiej we Lwowie; — Tadeusz Kuntze katechetą szk. żeń. im. Kościuszki tamże.

Habilitował się jako docent katechetyki i pedag. w Uniw. lwowskim X. Dr. Zygmunt Bielawski C. M., katecheta semin. naucz. m. we Lwowie.

Przeniesiony X. Maksymilian Sokołowski ze szk. wydz. m. św. Antoniego we Lwowie do szk. wydz. m. im. Staszica tamże.

Zmarli: XX. Franciszek Sochowicz, kat. w Bełzie, w 52 r. życia a 26 r. kapł.; — Michał Bałaban, em. kat. szk. realnej w 63 r. życia a 35 r. kapł.; — Grzegorz Urbański, kat. szk. real. w Rawie ruskiej, w 35 r. życia a r. kapł. R. i. p.

D. krakowska.

Mianowani: XX. Konstanty Michalski C. M. profesorem nadzwyczajnym (ad personam) filozofii chrześcijańskiej w Uniw. Jagiel.; — zastępstwo prof teol. moralnej tamże powierzono X. Drowi Władysławowi Wichrowi, katechecie szk. realnej w Żywcu, — a zast prof. teol. fundam. X. D-rowi Franciszkowi Madeji, wicerektorowi semin. duch. w Krakowie; — Edward Kuszlik (z Kol. kan. regul. later.) katechetą XVII szk wydz. żeń. w Krakowie; — Andrzej Krzysica w szk. wydz. żeń. im. Sienkiewicza w Krakowie na Podgórzu; — Józef Sosin w szk. wydz. m. im Kościuszki tamże; — Jan Ziółkowski w szk. wydz żeń. im Urszuli Kochanowskiej tamże; Ludwik Koniówka w 4 kl. szk. m. im. Długosza tamże.

Katedrę teol. moralnej w Uniw. w Lublinie objął X. Jacek Woroniecki O. Pr.

D. tarnowska.

Mianowani: XX. Piotr Maciaszek katechetą szk. 4 kl m. im. Kochanowskiego w Nowym Sączu; — Walenty Chrobak zastępcą katech. szk. real. w Tarnowie, w miejsce X. D-ra Adama Frączkiewicza, który otrzymał urlop dla porat. zdrowia.

Zmarł X. Michał Nowicki, kat. gimn. I. w Nowym Sączu, w 59 r. życia a 33 r. kapł. R. i p.

D. kielecka.

Mianowani: XX. J Jędrychowski, prob. w Ogrodzieńcu, prefektem gimn. w Miechowie; Stan. Spiro prefektem pensyi żeń. w Dąbrowie.

Zmarł X. B. Maliszewski, prefekt szkoły handl. w Dąbrowie Górniczej R. i p

D. przemyska

Mianowani: XX. Czesław Broda, katecheta w Woli raniżowskiej ekspozytem tamże; Adam Wojnarowski, kat. w Kołaczycach, katechetą szk 4 kl m w Jaśle; Wojciech Krystyński, b. administrator w Nowem mieście, zastępcą kat. szk wydz. m. w Sanoku; Józef Kaczorowski, b. kat T S.L w Morawskiej Ostrawie, wikarym ad pers. w Nienaszowie.

Zmarł X. Zacharyasz Rychel, kat. szk. wydz. żeń. w Sanoku, w 40 r. życia a 17 r kapł. R. i p.